

ROK II. :: ::

Kwartalnie

13 zeszytów

tylko

2 kor. 40 hal.

Wajencjach 2 kor. 70 hal.



Przedpłatę na „Tygodnik Narodowy“ przesyłać należy przekazem pocztowym lub czekiem do Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie ulica Wiślna 2. 

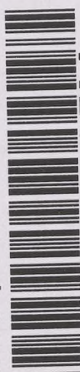
Kraków, dnia 18 lutego 1911.

TYGODNIK
NARODOWY
ILUSTROWANY

Rocznie (52 zeszyty) **9** koron. Półrocznie **4** kor. **80** hal.
Kwartalnie **2** kor. **40** hal. W agencjach prenumerata kwartal-
nie **2** kor. **70** hal. Pojedynczy numer **24** hal. Abonament
do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie
»»»»»»»»»»»» koron **8**, rocznie koron **16**. ««««««««««««

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego”,
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.

ЛННБ України ім. В. Стефаника



01524325M

„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. : : :
 Przedpłatę rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal.
 ćwierćrocznie 2 kor. 40 hal. — należy przysłać na ręce
 Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie,
 ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupezyca). — W agencjach na
 prowincji prenumerata kwartalnie 2 kor. 70 halerzy.

Ogłoszenia: Od wiersza 1-lamowego petytem 30 hal.
 Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro Marjana
 Hupezyca ul. Wiślna 2.
 Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905

Biuro Dzienników MARYANA HUPEZYCA

Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340

przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
 do wszystkich dzienników.

Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

L. 10.
 Męski ankr. remontoir.



Kor. 3,90.

z portretem Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem polsk.
 bardzo dobrze idący na min.
 wyregulowany. Na żądanie
 wysyłam darmo i opłatnie
 katalog ilustr. zegarów, zegarków,
 wyrobów jubilerskich, chińsk. srebra, przyborów,
 narzędzi zegarmistrzowskich i towarów muzycznych

F. Pamm, Kraków, Zielona 103

Rok 1909.

Rocznik XIV.

„RODZINA I SZKOŁA“

z dodatkiem naukowym

„WIEDZA I PRACA“

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa oraz szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszem pismem pedagogicznym polskiem.
 „Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleciła galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i okręgowych w Galicyi a śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1908 l. 2162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku oraz bukowińska c. k. Rada szkolna krajowa w Czerniawcach reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Bukowinie.

Rodzinę i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekarskiej i higienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskiem i katolickiem.
 Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje rocznie 8 Mk., półrocznie 4,50 Mk. — Zeszyt pojedynczy „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ 0,50 Mk.

Numer okazowy wysyła na żądanie otwartą pocztą i opłatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich l. 68 (Gmach Sokoła II-go.)
 Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko, miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie ul. Szeptyckich l. 68 po cenie: zbroszowane 6 Mk., oprawne 7 Mk. (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“ z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

BALSAM

aptekarza THIERRY'EGO

Naśladownictwo prawnie wzbronione.

Prawdziwy jedynie z zakonnicy, jako marką ochronną.

Niezawodny środek przeciw wszelkim chorobom piersi i płuc, leczy kaszel, śległe, chrypkę, zapalenie gardła, kurcze żołądka i wszelkie bóle żołądkowe, zapalenie wszystkich organów wewnętrznych, brak apetytu, złe trawienie, zatwardzenie; zewnętrznie leczy wszelkie choroby ust, ból zębów i oparzeliny, łarcie w kościach, wyrzuty, przedewszystkiem influenzę. 12 małych, lub 6 dużych podwójnych, albo jedna wielka flaszka do podróży K. 5.

MAŚĆ CENTYFOLIOWA aptekarza THIERRY'EGO

Jedynie prawdziwa, zadziwiająca, niehybny i niezrównany środek przeciw zastarzłym nawet ranom wrzodom, ranieniom, zapaleniu, chorobom nóg, ropieniu, wyciąga wszelkie obce ciała i usuwa ropnik, zapobiega bolesnym operacyom. Dwie puszeki K. 3.60.

Zamówienia do Apteki pod Aniołem Stróżem A. THIERRY w Pregrada koło Rohitsch. 7



Allein echter Balsam

aus der Schutzengel-Apothek

des

A. Thierry in Pregrada

bei Rohitsch-Sauerbrunn.

Jan Ihnatowicz

poleca

BAY-RUM używa się zé znakomitym skutkiem do mycia i utrzymania w czystości skóry na głowie. Flakon 80 hal. i 1.60 kor.

KAPTOLINA przeciw wypadaniu włosów. Flakon 2 kor. OLEJKI fiołkowy, rezedowy, jaśminowy, różany, mille-fleurs. Flakon 1 kor.

POMADA LITEWSKA wpływa korzystnie na włosy, posiada zapach przyjemny i nie jeleceje. Słoik 1 k

PUDR NA WŁOSY biały, do czyszczenia i pudrowania włosów. Pudełko 60 hal.

PUDR POPIELATY I ŻÓŁTAWY do upiększenia włosów. Pudełko 1 kor.

LWÓW — ul. Sykstuska 25 i ul. Hetmańska 6.

KRAKÓW — Sukiennice 20.

PRZEMYŚL — Mickiewicza 11.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Dobrowolne wywłaszczenie.

Ankieta w sprawie zubożenia ludności żydowskiej w Galicyi zwróciła uwagę wogóle na stosunki żydowskie w naszym zaborze. Statystyk dr. Stanisław Gruński, ogłosił ogromną rozprawę statystyczną, w której cyframi ilustruje położenie żydów w naszym kraju. Niektórymi przejawami tego życia „Tygodnik Narodowy” miał sposobność się zajmować. Obecna wszakże ankieta wskazała na niebezpieczeństwo dobrowolnego wywłaszczenia się z ziemi na korzyść żydów.

Otóż żydzi nietylko dążą jawnie do opanowania miejskich okręgów wschodnio-galicyjskich, gdzie liczą na poparcie Rusinów, ofiarując im wzajemność w okręgach wiejskich, do których wcielone są małe żydowskie miasteczka — ale niemniej sięgają po mandaty w kurii wielkiej posiadłości. Okazało się to podczas ostatnich wyborów sejmowych w r. 1908.

Organ syonistyczny „Wschód”, wychodzący we Lwowie, podał był wówczas zestawienie wyborców z wielkiej własności ziemskiej.

Ze statystyki tej wynika, że prawie jedna czwarta wielkiej własności znajduje się już w rękach żydowskich; na ogółem bowiem 2187 uprawnionych do głosowania w I kurii w r. 1908, przypada 475 żydów. Najmniejszy procent żydowskich właścicieli ziemskich znajduje się w obwodach nowosąckim (8,16 proc.) i lwowskim (13 proc.); największy natomiast w obwodzie złoczowskim (30,53), gdzie każdy trzeci wyborca jest żydem.

Dodać należy, że stosunek zmienia się stale na korzyść żydostwa. Z drugiej tabliczki statystycznej, podanej przez „Wschód”, wynika bowiem, że liczba żydów, właścicieli większej posiadłości,

wynosiła ogółem w r. 1861 — 38, w r. 1870 — 68, w r. 1789 — 314, a w roku bieżącym — 475.

Ale i na tym nie dość! Ażeby dobrze ocenić sytuację, należy jeszcze stwierdzić, że na ogólną liczbę 795 dzierżawców w Galicyi jest 527 żydów, a więc dwie trzecie żydów.

Jeśli liczbę 527 dzierżawców dodamy do liczby 475 większych właścicieli żydowskich, to przekonamy się, że połowa większych posiadłości ziemskich faktycznie znajduje się w rękach żydowskich.

Na mocy takiego układu sił syoniści domagali się 8 mandatów dla siebie z kurii ziemiańskiej. Nie otrzymali ich, bo ziemianie odrzucili z oburzeniem te postulaty. Nie mniej wszakże mogą zająć takie okoliczności, w których żydzi nie będą się pytali już o pozwolenie, ale przemocą zacząć swych praw dochodzić. W czasach ostatnich liczba żydów-„ziemian” wzrosła jeszcze znacznie, a w powiatach wschodnio-galicyjskich doszło do tego, że gdziekolwiek żydzi wśród ziemianstwa stanowią większość absolutną. Niebezpieczeństwo to rośnie nieustannie, bo Polacy wyprzedają ziemię ciągle; rosnąca między ziemianstwem niechęć do osobistego prowadzenia gospodarstwa, życie ponad stan, znana nieogledność naszego ziemianstwa, a wreszcie zmienione warunki w kraju spowodowały ten stan, który prowadzi do pokojowego wywłaszczenia!

Stosunki te są tem poważniejsze, że niema u nas uświadomienia faktu, co znaczy niewola żydowska w stosunkach gospodarczych. Jak ona się fatalnie na życiu naszego organizmu narodowego odbija, wiemy to dobrze. Robimy codziennie spostrzeżenia, co dla żydów, zwłaszcza dla ziemian i dzierżawców, oznacza Wiedeń, język niemiecki, myśl niemiecka i niemiecka kultura!



Dostojny gość.

Galicja miała sposobność gościć dostojnego gościa. Poseł ziemi lubelskiej Józef Nakonieczny bawił pośród nas. Postać to niezwykła, a znaczenie gościny duże.

Józef Nakonieczny, znany działacz narodowy w Królestwie Polskim, gościł już i w austriackim zaborze, zjeżdżając tu razem z wycieczką Kółek Kółek rolniczych przed czterema laty; włościanie powiatu łańcuckiego i przeworskiego zazwyczaj serdecznie wspominają do dnia dzisiejszego ówczesny jego pobyt w Albigowej.

Poseł Nakonieczny jest dzieckiem żyznej ziemi Lubelskiej, górującej w całym Królestwie tak gospodarką, jak i oświatą. Rosła budość ciała, szeroki gest, śmiały i dumny spójrzanie, wrodzona w krwi inteligencja, szczerość piastowska i prawdziwie polska serdeczność — czynią go pięknym typem polskiego chłopca.

Józef Nakonieczny urodził się w Grabowie, koło Lublina, dnia 16 marca 1879 r. Wychował się w warunkach bardzo ciężkich. Poza matką, która go czytać nauczyła, do żadnej szkoły nie chodził. Jako syn bezrolnego przecierpiał wiele biedy, wychował się w domu stryja i po nim dziedziczył małe gospodarstwo włościańskie. Wszystko zawdzięcza samemu sobie. „Pracowałem — pisze w jednym z listów prywatnych — bardzo ciężko, a nocami uczyłem się, jak również za byłem w polu“.

Już jako chłopiec rwał się do pracy narodowej i marzył razem z synami sąsiadów o życiu późniejszym, zdanym na usługi Ojczyzny. Wreszcie też zwróciła policja rosyjska na tę gromadkę włościańską w Grabowie, zwąca się „bandą Kmicica“, baczną uwagę. Sam jej dowódca, noszący z dumą nazwę Sienkiewiczowskiego bohatera w 15 r. życia miał u siebie pierwszą, nader surową rewizję, których ogółem było czternaście. Z powodu dużego i w miarę sił wydajniejszego udziału w życiu narodowym, Józef Nakonieczny wiele ucierpiał od rosyjskich władz; siedział w siedmiu więzieniach, a trzy lata przepędził na wygnaniu we Wołodzie.

Od czasu uformowania się w Królestwie Polskim stronnictwa demokratyczno-narodowego jest czynnym jego członkiem; w 26 roku życia został wybrany na posła do pierwszej Dumy.

Na szerszą arenę polityczną wybił się jeszcze w roku 1905; poznała go Warszawa z pamiętnego wiecu w sali Filharmonii dnia 17. grudnia 1905.

Jako mówca łączy w sobie gruntowną znajomość spraw, opartą na sumiennym czytaniu, z darem żywego i poetycznego przedstawienia nawet suchych faktów. Pojęcia, obrazy i przesłanki myślowe, czysto chłopskie, w przystosowaniu do literackich form słowa dodają mowom jego wiele siły, a zarazem dokładności.

Dlaczego gościna tego posła była zdarzeniem niezwykłym?

Mówi się wiele o nierozdzielności trzech zaborów, o jedności wszystkich dzielnic dawnej Polski. Faktycznie jednak podziały poczyniły wiele szczerb w naszym wzajemnym odnoszeniu się, w stosunkach obopólnych. Rozmaitość dążeń, odrębne stosunki polityczne fatalnie oddziałują na naszą psychikę i naszą umysłowość: przestajemy się nawet w niektórych razach rozumieć.

I dlatego wzajemne gościny i wzajemne współdziałanie jest tak potrzebne. Przed kilku laty współdziałanie było stałe. Na gruncie galicyjskim pracowali rodacy z zakordonu, za kordonem działali pracownicy tutejsi, narażając wielce przyszłość swoją, mienie i życie. Nazwisk ich historia nie zna, bo tylu ich było, co prowadzili podziemną robotę.

Dziś karta poczyną się odwracać. Królestwo Polskie, dojrzewające i zaczynające wychowywać młode pokolenia w duchu narodowym polskim, poczyną obecnie dostarczać jednostek, które innym zaborom pomagają w pracach społeczno-narodowych. Węzły wzajemnej wspólnoty ścieśniają się bardziej i znaczej.

Z ust posła Ziemi Lubelskiej mieliśmy sposobność słuchać głębokich swą treścią przemówień o miłości Ojczyzny. Radowała się dusza temi wynurzeniami, a równocześnie rosła tęsknota do tych chwil, w których reprezentanci poselscy naszego zaboru będą mogli jawnie uczucia swoje głosić z tamtej strony Wisły!



Uczmy dzieci nasze i sąsiadów czytać i pisać po polsku...

Wtajemniczajmy je w krzepiące ducha i serce dzieje narodu naszego...

Uczmy dzieci być Polakami o silnym charakterze, o woli niezłomnej, nieugiętej.



Mickiewicz w Burgas.

Po stracie ukochanej małżonki w dn. 5 marca 1855 roku, Mickiewicz stłumił boleść i zajął się jeszcze gorliwiej sprawami narodowymi. Wypracował memoriał o utworzeniu legionu polskiego na Wschodzie, a następnie, otrzymawszy od rządu francuskiego zasiłek, 11-go września opuścił Paryż, by pojechać do Konstantynopola, przyjrzeć się pułkom Kozaków Otomańskich, formowanym przez Michała Czajkowskiego (Sadyka Baszę). W pierwszych dniach października wybrał się do Burgas, gdzie te pułki się znajdowały, żył tu trybem obozowym, który polubił i roił o utworzeniu legionu z Izraelitów.

O pobycie Mickiewicza w Burgas posiadamy niezbyt wiele szczegółów. Czajkowski zanotował tylko tyle:

„Do obozu w Burgas przyjechał Mickiewicz z Henrykiem Służalskim. Poeta odrodził się z rozkoszy, patrząc na nadzieje Polski, już wcielone w młodźców na koniach i zbrojnych, i na biesiadzie, i na harcach, i na łowach, i na pogadance. Bułany koń, który przed laty przepłynął z naddunajskim Kozakiem i jego rodziną do sułtańskiej ziemi, przyjął go za pana i rżał do niego, jak do Kozaka; chart, Kapłan, z Ukrainy, przystał do niego na służbę i był nieoddzielnym towarzyszem w dzień i w nocy. Koń i pies poznają lepiej, niż ludzie, kto co wart; pieniądzem ich nie przekupisz, a bankiet — i bankiet zjedzą i do swego wrócą“.

Obszerniej się w tej mierze rozpisuje Służalski, w listach do panny Zofii Szymanowskiej. W jednym z nich pisze:

„Jesteśmy gośćmi u generała Sadyka Baszy. Co my tu widzimy, czego się dotykamy, to na to niema języka ni pióra do opisania. Po przybyciu do obozu, generał wyjechał z nami na polowanie. W obu pułkach namioty gościnne nas czekały. Staliśmy przy pierwszym pułku, wróciliśmy z polowania, trzy sarny i zająca we dwie godziny ubiwszy. Mnóstwo tu prześlicznych chartów i śliczniejszych jeszcze Kozaków. Generał wraca, obiad suty, cała oficerya u jego stołu, jak dzieci u ojca, nas pieczęją, aż tu sypią się sotnia po sotni, śpiewają, dalej muzyka, aż do prawdziwego krakowiaka ze skrzypcami, bandurki, bębenki. Dziś rano Msza w polu nad morzem, między

dwoma jeziorami. Ksiądz 2-go pułku, gdy Mszę odprawia, krocie pelikanów nad naszymi głowami przeciąga, żórawie koło ołtarza skaczą. Dalej wystąpienie 1-go pułku. Co za ludzie! co za mustra! Pan Adam Dobrodziej bardzo szczęśliwy, że starego swego przyjaciela widzi. Jutro polowanie na dziki z oszczepem“.

W innym liście czytamy:

„Bawiliśmy w obozie przez dni 15, podejmowani gościnnie przez generała Sadyka Baszę. Nigdzie na świecie podobnego szczęścia Polak poznać nie zdoła; widok dzikich Kozaków, ludzi umyślnie stworzonych do przeznaczeń Boga wiadomych a nadwyzczajnych. Przepędziliśmy czas, jak następuje:

O 5-ej rano pobudka, natychmiast, jak grom, głos atamana, bo on ostatni zasypia, a pierwszy czuwa nad pułkami. Rozkazy, mustry, polowania, rewie, promenady wojskowe. Dzień przelatywał, jak strzał z pistoletu. Drugi pułk, troszeczkę za goły, we 12 godzin wystąpił jak z morza w białych płaszczach, uszykowany tak, że łabędzie i pelikany płaczliwie zakrzyczały z zazdrości, co przy krasie kołpaków i chorągiewek pierwszego pułku taki miało urok, że tego widowiska nikt opisać nie zdoła, a żórawie dzień i noc płaczą, że ani tacy piękni, ani tak wyszykowani. Drugi dzień była Msza w stepie między dwoma jeziorami. Taka Msza mogła być tylko przy stworzeniu Polski czytana. Prostą a poważną kapłan, w czworobok wiara, w środku młodź krasna, na czele usrebrzeni laty i trudem dowódcy, na niebie szwadrony pelikanów i żórawi. Taka cichość wzniosła, że uważałem biedne ptaszyny swobodnie idące pod sam ołtarz. Ta nie do opisania wzniosła prostota poezya pewnie była powtórzeniem tego, co się działo przy stworzeniu świata, bo tu pewno rokowało się stworzenie Polski. Tyle serc skołatanych. Mam prawo mówić o sobie, że pierwszy raz w życiu modliłem się, nie modląc.

Tu, na tym dzikim stepie, najmniejsza rzecz jest najdziwniejszą. Byliśmy nazajutrz na mustrze pułkowej. Pan Adam Dobrodziej machinalnie dał się zanieść koniowi przed sotnie Kubańców, Michalickich, Dobruckich braci Kozaków, którzy do dziś posiadają sztandar, dany im przez Rzeczpospolitą Pol. Polowaliśmy kilka razy z chartami. Pan

Adam Dobrodziej, równy w ochocie i w wytrwałości całemu hufcowi myśliwych, za każdym razem brał kilkunastu zajęcy. Charty, konie, Kozacy i goście — wszystko dzielne. Mieliliśmy promenadę wojskową całą brygadą kozacką w szyku bojowym o parę mil. Znać było, że to straszny zastęp dla wroga. Ci ludzie od dwóch lat dachu nie znają, wciąż w marszu, w boju, pod namiotami. Tu w Burgas już 6 miesięcy koczują.

Co tu za braterstwo, wesołość! Bieda sama nawet śliczniejszą, niżby ją oprawiono w złoto i obsadzono brylantami. Generał podejmował nas serdecznie. Je się 2 razy na dzień, o 10-ej rano i o 5-ej wieczorem. Wszyscy oficerowie, prócz służbowych, są stałymi gośćmi. Przy uczcie śpiewy w każdej sotni, muzyka, tańce kozackie, którym żaden balet zachodni wyrównać niech nie próbuje, nawet teatr kozacki na płóciennych koniach. Czasem prezentują oficerowie swoje ulubione koniki. Ciekawe są tu tureckie, arabskie i czerkieskie bieguny, a jacy jeźdźcy! Wszystkie te ciekawości i obyczaje tak odwrotne wszystkiemu, czego Zachód, świat wielki, wyperfumowany, zaspany, zbladły, głupi niewolnik w złotych kajdanach, w marmurowych więzieniach, pojąć nie ma zmysłu nawet“.

W innym jeszcze liście nadmienia Słuzalski:

„Co to ten Sadyk Basza, jak on żyje! Jego pułkownik, oficerowie, Kozacy, konie, wielbłądy, bawoły, charty, to wszystko dziwniejsze, niż na całym innym świecie. Jak Kozacy swe barany pasą, ryby łowią, śpiewają, grają, tańczą, to bieda, żeby z kamienia wykuta, uciekać musiała. Teraz tego opisywać nie będę. Dość, że widział szarżę całym frontem i słyszałem „hura!“ a do śmierci tego nie zapomnę“.



Skarga Sarmaty.

Hej, rodacy, źle się dzieje,

Nikt nie słucha rad!

Każdy się z starego śmieje

I z minionych lat...

Ciche jęki w piersi głuszę

I ocieram łzę...

A zwątpienie szarpie duszę,

Pęka serce me!

Płynie, płynie to westchnienie

Z starczej piersi mej,

A w mej duszy to wspomnienie

Smutnej doli swej...

Skarga prosto z duszy leci

Cicho, tęskno w świat.

A w mem sercu ogień nieci

Pamięć dawnych lat.

Płyną, płyną me westchnienia

Do rodzinnych chat,

Tłumem cisną się wspomnienia...

Mych dziecięcych lat...

Tłumem cisną się wspomnienia...

O, gdzieżecie wy,

Me marzenia, urojenia

I dziecięce sny!

Uleciały... I nie wrócą

Sny młodości mej.

Dawnych pieśni już nie nucią

Syny ziemi tej.

Ach, gdzie surmy te bojowe,

Rzewne skargi te?

Słychać jakieś pieśni nowe

I okrzyki złe...

W mej tęsknicy, na obczyźnie,

Gdym wygnanecem był,

W niezgojonej serca bliźnie

O ojczyźnie-m snił:

Że, gdy wrócę na mą ziemię

Do rodaków myż,

Ujrzę nasze polskie plemię,

Jako braci swych.

Teraz słyszę wściekłe głosy

Rozjuszonych mas,

Posiwiałe moje włosy

Stają dębem wraz...



Maćko Borkowie.

Bratobójcze spory, walki
Dziś prowadzi lud.
Jedność z walką — to rywalki:
Próżny zgody trud.

Złe okrzyki, hasła nowe
Ranią serce me,
I pochylam siwą głowę,
Roniąc cichą łzę...

Wzrost i rozwój wielkich miast.

Cały kraj nie posiada nigdy równomiernego i równomiernie rozdzielonego zaludnienia; przedewszystkiem powstają większe skupienia — miasta i wsie.

Miasta spotykamy w każdej epoce historycznej; wyrażały one dążność współżycia ludności, miały na celu wspólną ochronę przed wrogiem, otaczały się murami i wałami, wytwarzały ogniska przemysłu i handlu. We wszystkich epokach dążyła do nich ludność okoliczna dla zarobku i w chwilach niebezpieczeństwa. W miastach powstawały zakłady naukowe, co przyciągało młodzież męską i żeńską, w nich umieszczały się urzędy, one były siedzibą władz, zbiorów sztuki, bibliotek, miejscem targów, jarmarków i wogóle przemysłu i handlu. W taki sposób miasta stawały się środowiskami kultury materialnej i umysłowej, wywierały wpływ na okolicę i kraj cały. Kraje, nieposiadające miast, stoją na najniższym stopniu cywilizacji, wszelka ludność osiadła dąży do ich wytworzenia.

W starożytności, jedynie miasta prowadziły życie kulturalne i wiadomości o nich przekazała nam historia. Miasta greckie stały się przybytkiem sztuk pięknych i nauk; ruiny pozostałych w nich budynków ściągają dotąd żadnych wrażeń turystów. Miasta fenickie w Małej Azji były rozsądnymi handlu; całe wybrzeże morza Śródziemnego usiane było miastami, które właściwie stworzyły historię starożytności. Miasto wielkie, w znaczeniu dzisiejszym, t. j. o milionowej ludności, posiadała starożytność tylko jedno, a był nim Rzym, rozsiadły na siedmiu pagórkach.

Ludność miejska wzrasta w tempie znacznie szybszym od ogólnej ludności w kraju, a przyrost ten spowodowany jest głównie przez przybyszów ze wsi. Miasta większe, stolice, rosną przytem szybciej od innych; największy zaś wzrost wykazują miasta przemysłowe, albo też w wielkich miastach dzielnice fabryczne. Jesteśmy również świadkami, jak w ciągu kilku dziesiątków lat, pod wpływem powstającego przemysłu, drobna osada zmienia się w miasto o kilku setkach tysięcy mieszkańców.

Słynnym jest wzrost miast amerykańskich, powoływanych do życia przez zbu-

dowanie kolei żelaznej lub wielkich fabryk. Ludność miejska wzrosła tam w ostatnim stuleciu dziesięćkrotnie. Mianowicie na każdy 1000 ludności, mieszkały w miastach w Stanach Zjednoczonych w 1790 roku 33 osoby, a w sto lat później, w 1890 r. — już 291 osób.

Współczesny wzrost miast, spowodowany przez warunki społeczno-ekonomiczne, odbić się musiał na składzie i właściwościach ludności. Przedewszystkiem występuje przewaga ludności wiejskiej, która nie od razu przez środowisko miejskie wchłoniętą być może. Miasto nęci przez łatwość wyższego zarobku, dostarcza sposobności do kształcenia i rozrywki, rozbudza nadzieje wybiecia się nad szary tłum, a przynajmniej doznawania żywszych i częstszych wrażeń od tych, których wieś dostarcza; ciągną też do miasta głównie ludzie młodzi, zarówno mężczyźni jak i kobiety, a także młodzież w wieku szkolnym. Wynika stąd, że wieś pozbywa się ludności w wieku wytwórczym, miasto zaś posiada nadmiar robotników, chętnych i zdolnych do pracy. Wytwarza to w każdym większym mieście cały zastęp robotników bez pracy, proletaryat uliczny, który nie mogąc otrzymać zajęcia, wymyśla sobie różne zarobki. W Paryżu zadziwić musi każdego nadmierna liczba przekupniów, sprzedających widoki, zabawki, słodycze, rozrzucających ogłoszenia, chętnych do najdrobniejszej posługi. To samo, choć może w mniejszym stopniu, powtarza się w innych wielkich miastach. Są to naturalnie zajęcia niestale, urywające się z dnia na dzień, którym towarzyszy często straszna nędza i których brak spycha jednostki w otchłań występku. Nawet tam, gdzie nie ponęty miasta, ale fabryki, dające zarobek, stanowią punkt przyciągający, zbiega się liczna ludność ze wsi.

Brak ludzi do pracy po wsiach i opustoszenie gospodarstw stanowić muszą odwrotną stronę owej wędrówki do miast. A zarówno przyrost miast, jak i wyludnienie się wsi, stanowi dziś zjawisko powszednie, powtarzające się w każdym kraju. Przyczyny tych stosunków są nader rozliczne i złożone. Ludność wiejską pociąga do miasta nie tylko wyższy i łatwiejszy zarobek, ale także brak na wsi wszelkich wrażeń umysłowych i rozrywek. Miasta są dziś jedynymi środowiskami umysłowego życia,



Św. Czcylia, patronka muzyki.

a dopóki tak będzie, dopóki wieś pozbawiona jest wszystkiego, co stanowi cechę życia kulturalnego, dopóki trwa olbrzymia różnica pomiędzy wsią a miastem, wędrowka ludności do miast nie ustanie. Naturalnie, że zmniejszyłyby ją mogło podwyższenie niskich zarobków robotnika rolnego, ale radykalnie jej zapobiedz potrafi jedynie zmniejszenie odrębności pomiędzy wsią a miastem, przeniesienie na wieś części tej kultury, która w mieście wypacza się często do kategorii najniższych przyjemności.

■ ■ W miarę napływu ludności, miasto musi powiększać swój obszar. Powstają zatem dokoła głównego środowiska przedmieścia, gdzie się przedewszystkiem osiedlają rodziny uboższe, ponieważ znajdują tam mieszkania tańsze; powstają dalej wile letnie, budowane dla rodzin zamożnych przez spekulantów. Z biegiem czasu owe przyrosty, uzyskawszy komunikację za pomocą tramwajów lub kolejek, wsiąkają w miasto, które jednak nie przestaje się rozszerzać, zajmując coraz więcej przestrzeni. Do niedawna takie rozsze-



Czy kocha, czy nie kocha?

rzenie odbywało się przygodnie, bez z góry obmyślnego planu. Dokoła głównej figury miasta, tworzyły się guzy, nabrzmienia i wyskoki, formując całość wielce dziwną, nieprawidłową. Nadto dorywcze, bez planu i systemu rozszerzenia się miasta, wytworzyło dzielnice zabudowane lada jak. W takich warunkach nie mogło być mowy o zachowaniu względów higienicznych i estetycznych, o zaspokojeniu potrzeb i wygod nowoczesnych. Rozszerzeniem zajmowali się spekulanci, którzy jedynie interes własny mieli na celu. Oni to zakupowali grunta podmiejskie, karczowali je, niwelowali i regulowali. Zarządy miejskie nie troszczyły się o to. W ostatnim czasie nastąpił zwrot ku lepszemu. Zarządy miejskie przyznały, iż miasto musi tworzyć całość organiczną, która powinna rozrastać się normalnie, według

starannie obmyślnego planu, z uwzględnieniem wszelkich potrzeb i wygod mieszkańców. Nie będą już więc powstawały dzielnice zacieśnione, z ulicami wązkiemi i krętymi, z domami o wyglądzie koszarowym — lecz prawidłowo rozłożone, zabudowane porządnie, ozdobione ogrodami i parkami. Pobudkę do tej zmiany dała zagranica, a zapewne i u nas znajdzie ona zastosowanie.

Krew nasza lała się marno,
Bój nie wsparł walki oręża;
Więc nowe rzucajmy ziarno,
Tę miłość, co ówiał zwycięża...

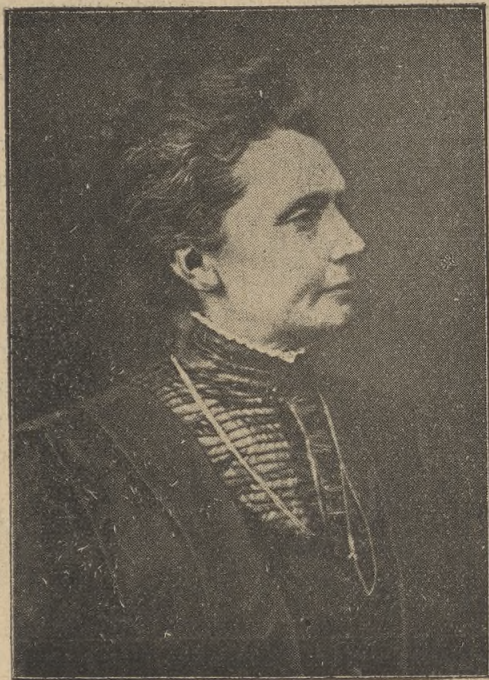
* * *

Siew dla przyszłości rozpleni,
Kto szubienicę w krzyż zmieni...

Obrazki ze świata.

Kobieta posłem.

Norwegia może się poszczycić posiadaniem pierwszego posła-kobiety. Jest nią p. Rogstadt, nauczycielka ludowa, kobieta znana w swej ojczyźnie z dzielności, ogromnie popularna. Już z podobizny jej widać, że nie może to być kobieta



przeciętna. Czoło wysokie znamionuje myśl głęboką, a cały wyraz twarzy mówi o energii p. Rogstadt. Patrząc na jej podobiznę, można twierdzić z pewnością, że kobieta ta często będzie w norweskim Parlamencie (Storthingu) głos zabierać i że działalność jej parlamentar-
na będzie pożyteczną.

W Finlandyi coprawda już od dawna kobiety przemawiają z mównicy parlamentarnej, lecz Finlandya nie jest — niestety — krajem samodzielnym, a Parlament w braku tego jest tylko czemś w rodzaju sejmów w poszczególnych krajach koronnych Austrii. Pani Rogstadt przysługuje zatem w

zupełności miano pierwszego posła-kobiety do Parlamentu o pełnych prawach.

Katastrofa kolejowa w Berlinie.

W poniedziałek zeszłego tygodnia zaszła znów w Niemczech katastrofa kolejowa, podczas której 9 podróżnych odniosło ciężkie obrażenia cielesne, a 12 lżejsze. Ofiary należą niemal wyłącznie do kół robotniczych; na szczęście niema wśród nich żadnej, której nazwisko świadczyłoby o polskim pochodzeniu.

Katastrofa ta zaszła w Berlinie, na stacyi Baumschulenweg. Zderzyły się tam dwa pociągi kolei podmiejskiej, idące w przeciwnym kierunku. Lokomotywa i cztery wagony wyskoczyły z szyn, a 2 wagony stoczyły się z dość wysokiego nasypu. Wszystko, co żyło, spieszyło naturalnie na miejsce wypadku, by przyjrzeć się skutkom zderzenia.

Uniewinnieni po piętnastu latach.

Sprawiedliwość ludzka nie może być bezwzględna, tym więcej, jeżeli ludźmi, wydającymi wyroki, powoduje zaślepienie partyjne. Nie mówimy tutaj o stosunkach, panujących w sądownictwie w naszych stronach, lecz o wyroku, jaki zapadł w pierwszych dniach lutego w *Essen*. Przed 15 laty skazano tam kilku agitatorów socjalistycznych za krzywoprzysięstwo na rok do trzech lat domu karnego. Świadkiem był wówczas jeden jedyny żandarm, człowiek ograniczony, sam karany później za krzywoprzysięstwo. Zasadzeni odcierpieli karę, choć wiedzieli, że znoszą ją nie





śluszenie, lecz bezustannie starali się o wznowienie wyroku celem wykazania swej niewinności. Po wielu staraniach bezskutecznych udało się im to obecnie — po 15 latach. Sąd uwolnił wszystkich od winy. Na obrazku naszym widzimy trzech głównych „przestępców“, którzy stali się ofiarą mylnej sprawiedliwości i zaciekleści partyjnej przed laty 15: *Thielego, Schrödera i Beckmanna*.

Dżuma w Mandżuryi.

Od dwóch miesięcy świat cywilizowany stoi wobec strasliwej groźby, którą przedstawia epidemia dżumy, srożąca się obecnie w północnej Mandżuryi. Tym razem epidemia ta przedstawia się znacznie groźniej, niż wszystkie dotychczasowe, z całego szeregu powodów. Przedewszystkiem ma się tu do czynienia z nową odmianą strasnej choroby, mianowicie z dżumą płucną, która daje 99 proc. śmiertelności, a pod względem naukowym zupełnie nie jest zbadaną. W obecnej dżumie działa jakaś szczególna odmiana bakcyli, dotąd niezbadana, a odznaczająca się niezwykłą wprost żywotnością i zjadliwością. Podczas, gdy przy dżumie zwykłej zarażenie się od chorego, przynajmniej w pierwszych początkach choroby, jest zawsze mało prawdopodobne, ponieważ straszne bakterie znajdują się w ropiejących gruczołach pod skórą, przy dżumie płucnej nie ma wprost

sposobu ocalenia ludzi, znajdujących się w pobliżu chorego na tę straszną chorobę, od okropnego losu.

Zdaje się, że roznosicielami dżumy są pewnego gatunku gryzonie, zwane po chińsku „hatayte“, po rosyjsku zaś „surki“ lub „tarbagany“, których skórki są bardzo poszukiwane na amerykańskich targach na tańsze futra. Owe „surki“, podobnie jak kuzyni ich szczury, są roznosicielami dżumy, z tą różnicą, że roznoszą one dżumę płucną, podczas gdy szczury

darzą nas dżumą zwykłą. Chińczycy, wiedząc o tem, że niebezpieczne gryzonie roznoszą straszną chorobę, polują na nie niechętnie. Ale w roku zeszłym kupcy amerykańscy tak energicznie domagali się skórek tych zwierzątek i ceny ofiarowali za nie tak wysokie, że chęć zysku przewyciężyła u łowców chińskich obawy zarażenia się. Zaczęli oni bardzo gorliwie polować na te zwierzątka, które też nie omieszczały wynagrodzić ich przepięknymi kulturami dżumy płucnej.

Dotychczas padło w Mandżuryi, mało licząc, sto tysięcy ludzi na tę straszną chorobę. Większość trupów leży na powierzchni ziemi niepożretych, stając się pastwą zgłodniałych psów, dzikiego ptactwa i szakali. Nie można natomiast powiedzieć, aby one gniły, ponieważ w Mandżuryi panuje obecnie silny, przeciętnie 20-stopniowy mróz. Gnicie tych gór mięsa ludzkiego rozpocznie się dopiero z nastaniem wiosennych roz-



topów, rozwinie się ogromnie podczas strasznych upałów letnich, aby wreszcie użyźnić ziemię podczas pory deszczowej.

W czasie upałów letnich Mandżurya roi się od mirjadów bardzo żarłocznych i zjadliwych much. Natarczywe te owady będą dalej prowadziły dzieło zabitych „surków“, roznosząc z nieoprzezbanych i gnijących trupów zadżumionych zarazę na coraz dalsze okolice. Wszyscy znawcy mandżursko-chińskich stosunków z trwogą zadają sobie pytanie, co będzie w lecie, jeżeli teraz, wśród najsroźszej zimy, we wszystkich miastach mandżurskich ludzie umierają setkami dziennie? Istotnie nie podobna bez dreszczu trwogi myśleć o tem, co będzie.

Obrazek nasz przedstawia *jedną z ulic w Charbinie*, gdzie choroba ta grasowała w straszny sposób. Wszystkie mieszkania, wszystkie domy stoją w ulicy tej opustoszone wskutek strasznej zarazy.

Z Charbina ma dżuma otwartą drogę do Europy.

Jedynym sposobem zamknięcia dżumie mandżurskiej wstępu na Syberyę, a przez nią i do Europy, byłoby zawieszenie całkowite wszelkiego ruchu na kolei mandżurskiej i zabajkalskiej. Zastosowanie jednak tego sposobu jest zupełnie niemożliwe ze względów politycznych, a przede wszystkim ekonomicznych. Rząd rosyjski ogranicza się też do urządzenia kwarantanny na stacjach granicznych, które, jako środek zapobiegawczy, są zupełnie niewystarczające.

Od trzech tygodni obraduje w Irkucku specjalna Rada sanitarna pod przewodnictwem dr. Malinowskiego, inspektora epidemicznego dla całej Rosyi, nad sposobami obrony wschodniej Syberyi przed dżumą. Dotychczas jednak nie słyhać, aby Rada ta cokolwiek nadzwyczajnego uradziła. Zwykle środki zaradcze i desynfekcyjne w tym wypadku są zupełnie niewystarczające. Zastosowanie zaś innych na szerszą skalę pomyślaných wydaje się niemożliwym.

Narody współczesne powiązane są z sobą tyśiącznymi interesami tak ściśle, że o całkowitem odosobnieniu się jednego od drugiego chociażby na czas krótki, nie może być mowy. — Z drugiej strony, bez takiego zamknięcia granicy rosyjskiej od strony Chin, walka z dżumą jest oczywistym złudzeniem. Zresztą nawet i ta obecna walka jest prowadzona bardzo niedostatecznie, jak o tem świadczy chociażby fakt, że dotychczas nie zastosowano desynfekcji do posyłek pocztowych i kolejowych, idących z zadżumionej Mandżuryi do Rosyi.

Niemcy skierowały swoją pocztę wschodnio-azyatycką na Sucz, chcąc uniknąć w ten sposób najłżejszego nawet stykania się z Mandżuryą. Do Rosyi zaś, do dnia dzisiejszego idą stopy pakietów pocztowych wprost z Charbina, Cycakaru i innych ognisk dżumy, roznosząc jej niebezpieczeństwo na wszystkie konce caratu rosyjskiego, a więc i Królestwa Polskiego.



Cudowne źródło.

Bajka chińska.

Biedny, ale poczciwy Laus-sy mieszkał nad Jang-tse-kiangiem i zajmował się na drobną skalę połowem i sprzedażą ryb. Usposobienia był smutnego, bo pomimo pracy i uczciwości nie mógł dojść do stanu możliwie wygodnego życia i szczęśliwości.

Pewnego razu wybrał się na spacer po pracy i w niewielkiej odległości od swego domu spotkał bogobojnego starca, nazwiskiem Lin-li, z którym szedł dalej, rozmawiając. W rozmowie zwierzył się starcowi, że nieraz rozmyśla nad tem, dlaczego na świecie jest tyle złego.

— To bardzo proste — rzekł mu Lin-li. Że na świecie jest źle, winne temu głównie przyczyny następujące: ludzka chciwość, objawiająca się u wielu ludzi; brak miłości względem bliźnich i brak ufności w swoje siły i w możliwe szczęście u lepszych, lecz też licznych ludzi. Słuchaj Laus-sy — mówił starzec — podobno przed laty, kiedy ludzi było na świecie jeszcze bardzo mało, wytrysło w górach piękne źródło. Źródło to, do którego każdy mógł się dostać, podobno posiadało tę cudowną własność, że kto się z niego miał napić wody, zostałby szczęśliwy. Ale przytem warunki były takie, że pić trzeba było z wiarą, że to picie szczęście rzeczywiście przyniesie, pić z sercem pełnem miłości dla świata i pić tylko tyle, ile potrzeba dla zaspokojenia rzeczywistego pragnienia, nie mniej i nie więcej. Tylko przy zachowaniu takich warunków ludzie pijący mogli być szczęśliwi. I oto cóż się stało? Najprzód do źródła zbiegli się ci, którzy wierzyli w szczęście możliwe, wierzyli, że da im je woda ze źródła, lecz niepomni na warunek, opijali się tak wiele wody przez chciwość, że ona zu-

pełnie nie działała i nie dała im pożądanego szczęścia. Nie dopuszczali innych przez chciwość, a sami [szczęścia przez znaczne opicie się wody, co było zabronione, nie osiągnęli. Inni nie byli chciwi, choć tych było znacznie mniej, ale tak byli zrozpaczeni, że pili, myśląc o tem, że cudowne źródło im szczęścia nie da, ponieważ w objawy możliwego szczęścia na świecie nie wierzyli. Więc i im źródło cudowne nie pomogło. Nie potrzebuję dodawać, że ci ludzie, którzy posiadali chciwość, choćby w najmniejszym stopniu, nie posiadali też miłości dla świata. Wobec takiego zachowania się ludzi cudowne źródło prawdziwego, możliwego szczęścia bić przestało.

Władysław Karol.

Zarozumiałość.

Przez Kazimierza Brodzińskiego

Zarozumiały jest tem samem pod względem umysłowym, co zapamiętały pod względem moralnym; oba działają na oślep. Ale zapamiętały ochłonie i upamiętać się może, zarozumiały wiecznie duszony jest dymem miłości własnej, i zdaje mu się, że to jest obłok, z którego, jak Jowisz, gromy i wyroki wyrzucać może. Niezdolna to wada w społeczeństwie, a najszkodliwsza temu, kto nią jest zarażony.

Smutno jest razem i pocieszenie słyszeć w gronie ludzi, mających doświadczenie i zasługi, zarozumiałca, stanowiącego o wszystkim; tem więcej zuchwałego, im mniej zdolny jest domyślać się milczącego politowania. Wyrokuje o pracach i charakterze ludzkim tem śmieiej, że sam nic jeszcze nie pracował i charakteru swojego na żadne stanowcze doświadczenie nie miał sposobności wystawić. Gdy niegdyś wiek i zasługi minione dostateczne były do poszanowania, a przynajmniej jednały względność młodych, teraz same przez się wystarczają do lekceważenia u zarozumiałych. Jeżeli im się uda wadę lub omyłkę jakową w kim postrzedz, a tylko na to polują, wtenczas sądzą, iż są we wszystkim nad niego wyższymi; i dla skazy, choćby tylko uwidzianej, ze wszystkim go potępia. Najjaśniejsze dowody oślizgną się o nich jak o głązy; bo są tylko zajęci, nigdy w cudzy charakter, sposób myślenia i w położenie nie wchodzili, i na nikogo nie zważając, obrażonymi się sądzą, gdy kto mało ich pretensye uważa.

Różne są przyczyny i stopnie zarozumiałości.

Człowiek, oddany wyłącznie jednej jakowej nauce, łatwo ulegnie tej wadzie; bo w samej rzeczy, daleko postąpić w niej może i naturalnie widzi w niej bardzo wielu niższymi od siebie, chociaż nie ogląda się na ich zalety, których dostrzegać i ocenić nie umie. Ta zarozumiałość najłatwiejszą jest do wybaczenia, bo kto swojego zawodu najwyższej nie ceni, ten w nim nie postąpi daleko. Dodać atoli wypada, iż to dobre rozumienie mieć można o swojej nauce, lecz nie o sobie samym. Jednakże zwykle zarozumiałość i pedantyzm czępią się tych, którzy oddają się przedmiotom szczegółowym i mało ważnym dla ludzkości; nie tak nie uczy być skromnym, jak głębokie badanie nauk wszelkiego rodzaju; bo im kto dalej w nich dojdzie, tem pewniej trafi na granice, gdzie rozum ludzki koniecznie zatrzymać i ukorzyć się musi. Salomon i Sokrates, dwaj najwięksi mędracy starożytności, jawnie to wyznanie uczynili, a Chrystus Pan uważa skromność za obowiązek i szczęście chrześcijanina. Z nią można daleko w naukach postąpić; ale zarozumiałość, jakby złodowaciała zawsze na jednym miejscu zostaje.

Zarozumiałość pospolitą jest także w ludziach w odosobnieniu żyjących, którzy powziawszy lub utworzywszy sobie zdanie jakowe, nie mieli sposobności porównać go z innemi, a przeto, z swoim tylko rozumieniem obcując, tak nawykli do niego, iż w niem żadnej mylności nie widzą i wszelkiem mniemaniem przeciwnem pogardzają. Bliższe obeznanie się w towarzystwie, wyleczy ich z tej wady, którą zresztą każdy rozsądny wybaczy.

Dalej ulegają tej wadzie ludzie, którym szczęśliwa skądinąd fortuna, nigdy nie dozwoliła szczerzej prawdy usłyszeć, w których owszem zarozumiałość ciągle pochlebstwo rozwinęło. Lepiej jest dla człowieka być w zaletach swoich niepoznanym, aniżeli nad zasługi chwalonym; bo w pierwszym razie ma bodziec do dalszego jeszcze postępu, a w drugim tylko tamę, którą już za cel osiągnięty uważa.

Najwięcej i najnaturalniej skłonny jest człowiek do niej w młodości, bo wszystkie pojęcia są mu nowe, a zatem, silnie na niego działając, zdają mu się być jedyne, nieomyłne, za którymi przeto z wszelką żywością obstaje. Na to jedynem lekarstwem jest czas i roztropne a wczesne prostowanie przez doświadczonych, bo ta wada łatwo się zakorzenia a nic przykrzejszego, jak gdy od niej własne zawstydzające szkody i obcy ludzie odzwyczajają nas będą. Ale u młodych, niezepstych bywa to raczej żywe czucie przyrodzoną otwartością, niż zarozumieniem, która przy wzglę-



Wśród zimy.

dnych osobach, łatwo na korzyść wyjść może. Przeciwnie najnieznośniejszym i politowania godnym jest młody zarozumiały pedant, który wychodząc z pięknej sfery swojego wieku, zimnym i poważnym tonem wszystkowiedza i wszystkoma udaje. On właściwie mniej jest zarozumiały, niżeli chce tę nieszczęśliwą rolę udawać. On dobrze rachuje się z sobą, aby się w oczach ludzi nie okazał mniejszym, niż jest przed sobą samym; dlatego najwięcej z góry daje wyroki. Pierwszego naprowadzać potrzeba; dla drugiego niema sposobu, również z góry go karcieć nie wypada.

Ofiary ludożerców.

O tragicznych losach austriackiej wyprawy naukowej do grupy wysp Salomona na Oceanie Spokojnym przed czternastu laty podaje jedna z gazet wstrząsające szczegóły pana Nickla, jednego z uczestników owej wyprawy, dotąd żyjącego. Wyprawa ta, pod wodzą wiedeńskiego geologa barona Foullona de Norbeck, dostała się na wyspę Goudalcanar i tam padła ofiarą ludożerców, co obecnie stwierdzili na miejscu Anglicy. Wspo-

mniany p. Nickl, marynarz z załogi austriackiego okrętu „Albatros”, który wioził wyprawę, a obecnie właściciel małej fabryki, opowiadał następujące szczegóły współpracownikowi owej gazety.

Nie należę do tchórzów, ale wybierając się na wyprawę z baronem Foullonem w marcu 1896-ym roku, odczuwałem instynktowną obawę. Podczas mojej pierwszej bytności na owym archipelagu widziałem niezapomnianą scenę na wyspie St. Gruz. Widziałem wtedy ze wzgórza czterdziestu do pięćdziesięciu dzikich, którzy odprawiali szatański taniec na około koryta, wyciosanego prymitywnie z drzewa. W korycie znajdowały się części ciała ludzkiego, ugotowanego w jakiejś bryi. Ukończywszy taniec, dzicy zasiedli na murawie, a czerpiąc muszlami ową zupę, spożywali ją z widocznym apetytem, chwytając chciwie kawały mięsa. Naówczas widziałem dzikich, którzy mieszkają na wybrzeżu i są mniej krwiożerczy, niż mieszkańcy z głębi wysp, dotąd właśnie miała się udać wyprawa austriacka. I już wtedy zapytywałem siebie, czy wrócimy cało do ojczyzny.

W sierpniu 1896-go roku przybyliśmy na wyspę Guadalcanar, gdzie baron Foullon miał zbadać łańcuch pór w głębi lasu pod względem geologicznym. Okręt „Albatros” zarzucił kotwicę koło wsi Arota, gdzie żyło 30 do 40 rodzin dzikich. Chociaż wybielone czaszki ludzkie, które wisiały przed każdą chatą, na drzwiach, w znacznej liczbie, nie były zachętą do dalszej podróży, nie cofnęliśmy się, zwłaszcza, że tubylcy przyjęli nas gościnnie.

Po dwóch dniach ruszyliśmy w sile 24 ch ludzi pod przewodnictwem czterech tubylców w kierunku góry Tatube, celu naszej wyprawy. Po drodze zachorowało siedmiu ludzi, i kadet okrętowy Rosen wrócił z nimi na miejsce wyładowania. Po jednorazowym wypoczynku, w czasie którego rozbiliśmy obóz prowizoryczny, dotarliśmy do stóp góry Tatube. Przewodnicy, wskazując na górę, czynili rękami znaki podtrzymania gardła, ale my nie zważaliśmy na to.

U stóp góry rozbiliśmy główny obóz, a że przewodnicy nie chcieli bezwarunkowo iść dalej, postaraliśmy się o nowych miejscowych przewodników. Ku wieczorowi dzicy obojga płci zjawili się po drugiej stronie wąwozu, nad którym rozbiliśmy namioty i urządzili tańce. Tytoniem i koralikami zwabiliśmy ich do naszego obozu, gdzie odrzucili broń i tańczyli znowu. Podczas tańców dotykali się naszych ciał i rzucali sobie porozumiewawcze spojrzenia. Ale my nie zważaliśmy na to.

Nazajutrz pod wodzą barona Foullona ruszyliśmy w sześciu na górę, prowadzeni przez miejscowego przewodnika, który był bez broni i okazywał nam wielką uprzejmość. Po drodze przyłączali się do nas tubylcy, tak, że zebrało się wreszcie do trzydziestu. Częstowali nas jagodami i zachowywali się po przyjacielsku. Na skrócie drogi znaleźliśmy się na małej wyżynie i ujrzelśmy około 150 dzikich, którzy natychmiast zaczęli tańczyć, wydając zwierzęce okrzyki.

Baron Foullon niczego nie podejrzewał i zapalił sobie cygaro. Wtedy wyszedł z chaty dziki ogromnego wzrostu, naczelnik plemienia. Przystał do chorążego okrętowego i ostro zażądał wymiany swej maczugi za rewolwer chorążego. Nagle z naszego obozu padł strzał i dzicy, jakby na umówiony znak, napadli na nas. Chorąży Budzik, który podczas rozmowy z naczelnikiem wydobył rewolwer, natychmiast położył trupem naczelnika.

Jeden z dzikich uderzył mnie w plecy toporkiem. Cios mógł być śmiertelny, ale na szczęście toporek odbił się o puszkę z konserwami, znajdującą się w worku. I teraz przeszła mój myśl, że padniemy ofiarami ludożerców. Ale nie czułem strachu — przeciwnie ogarnęła mnie wściekłość. Przypominam sobie z bezładnego chaosu, że siekierą rozplątałem jednemu z dzikich głowę aż po dolną szczękę. Tymczasem nasi marynarze dali salwę z karabinów i dzicy uciekli w pośpochu.

Teraz rozejrzeliśmy się po strasznym pobojuwisku. Po stronie dzikich padło dziesięciu, my mieliśmy trzech rannych, między nimi barona Foullona. Natychmiast zabraliśmy się do odwrotu. Po drodze okazało się, że baron Foullon jest ranny w piersi od naszej kuli, która odbiła się o skałę i utkwiała w jego płucach. Gdyśmy odzyskali zimną krew, ogarnęła nas obawa o los towarzyszy, którzy pozostali w obozie.

Z trudem dotarliśmy do obozu, gdzie przedstawił nam się straszny widok. Pośród rannych i zabitych stał tylko jeden, jedyny marynarz. Łkając, opowiedział nam, jak zaraz po naszym odejściu zaczęli się wciskać do obozu dzicy. Przynieśli i rozdawali banany, co uspiło czujność naszych. Nagle rozpoczęli walkę. Kadet okrętowy Beaufort i dwaj marynarze polegli, inni odnieśli ciężkie rany. Na kadeta Beauforta rzucił się jeden z dzikich, przeciął mu toporkiem obojczyk i zaczął jak tygrys pić krew z rany. Potem zębami i palcami rwał z rannego kawałki mięsa i połykał je.

I stąd wreszcie uciekli dzicy z powodu ognia karabinowego. Postanowiliśmy wrócić na pokład naszego okrętu. Tymczasem baron Foullon zemdlał i w kilka chwil wyzionął ducha. Znowu pojawili się dzicy, ale uciekli po pierwszym strzale. Pozostawiliśmy poległych, a zabrawszy rannych, wróciliśmy na okręt. Stąd posłaliśmy po zwłoki oddział marynarzy, którzy jednak powrócili z pół drogi z powodu burzy. Okręt nasz ruszył w podróż dalszą, a kiedy mijaliśmy owe miejsce, gdzie w obozie leżały zwłoki naszych towarzyszy, widzieliśmy, jak dzicy w świetle ognisk czynili przygotowania do spożycia trupów.

Matka 50 dzieci.

Poniższą historię pisma angielskie opisują zupełnie... seryo. A jednak... Lecz posłuchajmy: W Transvalu, w powiecie kronsztadzkim, mieszka wdowa, niejaka pani van Wyk. Urodziła się ona dn. 20-go października r. 1832, a do pożycia małżeńskiego wprawiać się poczęła już w 18 roku życia, wychodząc za Piotra Jakóba, dwójga imion, Lubbe'go. Po upływie dwu lat straciła małżonka, zostając z jednym dzieckiem. Samotność ta nie trwała długo; już po dziesięciu miesiącach poślubiła wdowca Mikołaja Marcina Pretoryusza, ojca dwójga dzieci. Po półtoraletniem, jaknajlepszym pożyciu małżeńskim, zabrał jej los i tego towarzysza, zostawiając ją znowu jako wdowę, tym razem naturalnie z 5 dziećmi. Po pięciu miesiącach wstąpiła ponownie w związki małżeńskie z Dawidem Stefanem Pieters'em. Ten trzeci jej mąż wniósł jako wiano 7 własnych dziatek. Z p. Pieters'em była p. van Wyk szczęśliwa przez lat jedenaście, pomnażając dobytek wspólny jeszcze o 7 dzieci. Umarł w końcu i ten mąż. Wdowa zrobiła małą pauzę. Minęło 5 lat, które przeżyła w gronie swych 19 dzieci. Nie mogła jednak dłużej wytrzymać samotności i wyszła za mąż znowu za wdowca. Zwał się Daniel Ludwik Kronje. Nowy małżonek miał swych własnych dziatek równo ośm. Z panem Kronje żyła jedenaście lat, obdarzając go 4 dziećmi. Troska o tylu członków rodziny niejednogoby ojca zniszczyła, więc też nie dziw, że i p. Kronje długo nie wytrzymał i przeniósł się w lepsze zaświaty. Znow nastąpiła 5-letnia pauza, poczem wdowa po raz piąty z rzędu ślubowała przed ołtarzem wierność, tym razem p. Henrykowi Klapperowi, z którym żyła lat 11, przynosząc mu niemal z regularnością

kalendarzową rok rocznie potomka. Razem było tych pociech 10. Gdy imci p. Klapper „klapnął“, wdowa van Wyk, nie mając widocznie dość rozkoszy małżeńskich, poślubiła ostatniego z rzędu małżonka, p. Ekenraada Henryka van Wyka, ojca 5 dzieci. Z ostatniego tego małżeństwa pozostało czworo dzieci. — razem jest tych dzieci 50, wnuków zaś ma p. van Wyk okrągłą cyfrę 270...

Kalendarzyk historyczny od 19 do 25 lutego.

19. Urodził się Kopernik 1473 r. — Wygrana przeciw Moskwie pod Wawrem 1831 r. — Rozpoczęcie rzezi galicyjskiej 1846 r.
20. Bitwa pod Grochowem 1831 r. — Chrzest Litwy 1387 r.
21. Koronacya Zygmunta Augusta 1543 r. — Marya Mniszchówna, utopiona przez Moskali 1613 r.
22. Założenie Jasnej Góry 1382 r. — Urodziny Fryderyka Chopena 1810 r. — Wojsko narodowe otrzymuje chorągwie z napisem: „Za naszą i waszą wolność“ 1831.
23. Bitwa pod Dirnkau z Prusakami 1807 r. — Zgon Zygmunta Krasińskiego 1859 r. — Zgon Stanisława Leszczyńskiego 1766.
24. Derpat na Szwedach zdobyty 1582 r.
25. Rzeź w Warszawie 1861 r.

Łamigłówki do nagrody

I.

Ułożył K. W. z R.

Piąte — Pierwsze w Rosyi rzeka,

Kształt jej — znak zapytania.

Drugie — trzecie — czwarte dają

Do opracowania.

Całość wielką jest nauką,

Słyną z niej Newtony,

Archimedes i Paskale —

Bierzmy się też do niej.

II.

Wprost — postój daję, lub schronienie,

Wspak — w poszukiwaniu czyni ułatwienie.

Rozwiązanie łamigłówek prosimy nadsyłać tylko na pocztówkach najpóźniej do 23. lutego b. r. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadesłały rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 9.

Rozwiązanie

łamigłówek zamieszczonej w nr. 5:

I. Szarada: *Jar—marki.*

II. Zagadka: *Czas.*

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicji:

pp. Irena Bochnakówna, Felicja Brachłówna, Marya Chciukówna, Czesław Jan Fiałkiewicz, Emil Gruszecki, Stefania Hatschierowa, Marya Hószowska, W. Hyla, Helena Królicka, Julian Krzysztofowicz, Z. Maślakiewicz, Helena Michalikówna, Wanda Misiewicz, Helena Myconiówna, Bolesław Natowski, Wacław Nowosielecki, ks. Wincenty Osikowski, Karol Pacuła, Alina Panasiewiczówna, Franciszek Pawliczek, Józef Pieszczocho, J. Steindl, Aleksander Stobiecki, Adam Świerkosz, Natalia Szczepańska, Kazimierz Szeliga, M. Szewczyk, Mieczysław Szporek, Jadwiga Tarnowska, Emilia Tatarówna, Władysław Trybała, Stefania Wdówkówna, Anna Welnianka, Józef Wilusz, Adela Wiszniewska, Jan Witkowski, Zdzisław Zaremba.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Berta Badura, Kazimierz i Stanisława Balcerscy, Jadwiga Baranowska, Tela Bartz, Leon Biernaczyk, St. Bilski, Agnieszka Błaszczyk, Tomasz Cichocki, Fr. Depczyński, Danuta Doleżych, Bronisława Gołębiewska, Józefa Górecka, Stanisława Grzeszak, Wojciech Hadryś, Wiktorya Hartwich, Jan Haska, Wincenty Herok, S. Hofman, Eleonora Jankowska, „Z. K.”, Fr. Kempński, Władziu, Wandzia, Jadwisia i Tadiusz Kiser, Bolesław Knappik, Konstancja Kolańczyk, A. Kujawski, Wanda Kulczyńska, Fr. Leśny, Jan Lonc, „Lotos”, S. Manjura, F. Modrakowska, Tadeusz Noske, Karolina Niezychowska, Tadeusz Olędarczyk, J. Olejniczak, M. Paluszyński, Józef Papon, Alojzy Perliński, Hieronim Piechocki, Irena Plewkiewicz, Marya Priewer, Ignacy Pudlik, Ignacy Rak, Nikodem Schmelter, Fr. Schüler, Cecylia Sikorska, Anastazy Śmigierski, J. Starczewski, Stanisław Szymanowski, Leokadya Vetter, Marya Waczyńska, Tadeusz Wilgocki, Tadeusz Włodarczak, Teodor Włodarz.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Paweł Harazim z Dellwig (Nadrenia), Miłka i Adaś Jańczak z Friedenau p. Berlinem, H. Jankowska z Altenessen (Nadrenia), Stanisław Kwintkiewicz z Duisburg-Laar (Nadrenia), A. Lenkiewicz z Satow (Meklenburgia), Ignacy Lewandowski z Charlottenburga, W. Łukaszewski z Horstermark (Westfalia), Ignacy Niemyt z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Mikołaj Wieżewski z Grube Bertha (Łużyce), Wrzesiński z Grube Ilse (Łużyce).

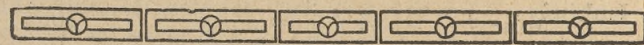
Nagrodę otrzymają:

pp. 1) Wanda Kulczyńska z Śremu, 2) Józefa Górecka z Leszna, 3) W. Łukaszewski z Horstermark (Westfalia), 4) M. Szewczyk z Dobrej (Galicja).

Z opóźnieniem otrzymaliśmy rozwiązanie łamigłówek z nr. 4 od następujących osób:

pp. A. Kujawski, K. Pacuła, Fr. Grabski, Maryan Frydrychowicz, Marya Niezielińska, „Lotos”, Hanula Preibiszówna, Tadeusz Przybyszewski, „Janek z pod Góry Przemyśława”, Jadwiga Baranowska, Agnieszka Błaszczyk, de Karchowski.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, przysyłać rozwiązania łamigłówek tylko na pocztówkach.



KTO CIERPI

na kaszel, chrypkę, katar i koklusz etc. temu nie brakuje do odzyskania zdrowia nic więcej jak tylko wypróbowany, przez lekarzy zalecany i smaczny środek

Thymomel Scillae.

Fabryka i skład główny w

APTECE B. FRAGNERA,

c. k. dostawca.

Praga-III Nr. 203.

Proszę poinformować się u lekarza.

1 butelka **2.20 kor.**, franko pocztą za poprzedniem nadesłaniem **2.90 kor.**, 3 butelki za poprzedniem nadesłaniem **7.— kor.**, 10 butelek za poprzedniem nadesłaniem **20.— kor.**

Baczność na nazwę preparatu, fabrykanta i znaczka ochronnego.



Do nabycia w aptekach.

W Krakowie w aptekach M. Masłowskiego, M. Rедера, K. Wiśniewskiego.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

DZIECIĘ Z ULICY. POWIEŚĆ.

I.

— Jesteś szalony, Achilu!

— Mniejsza o to! Powiadam ci, że „ona” musi mieć czerwone włosy i zielone oczy! Ba! piękne blondynki i brunetki to nic nadzwyczajnego, ale czerwone, a raczej złote włosy i zielone oczy można zaledwie liczyć na tuziny! Pomyśl tylko, jakby taka kobieta zwracała uwagę na siebie! Mężczyźni rujnowaliby się dla niej, malarze traciliby rozum, cały Paryż kochałby się w niej, a ja...

— Także, nie wątpię o tem.

Delikatna, blada twarz mówiącego skrzywiła się w ironicznym uśmiechu — i z wyrazem znudzenia spojrział na powozy i na tłumy ludzi, ożywające bulwary.

— Ja? — odrzekł książę Achil Arbanow i zmarszczeniem czoła przycisnął mocniej szkiełko do oka — jabym przynajmniej spróbował. Możeby mi się jeszcze raz powiodło — ostatni raz!

Wicehrabia Leroy nie odpowiedział nic na to, znał on aż nadto dobrze „wybryki” swego przyjaciela i nie uważał za potrzebne rozwodzić się nad tem. Obydwaj приятели szli z wolna dalej po bulwarach, które o tym czasie były pełne ruchu i życia.

Książę Achil Arbanow był Rosjaninem — prawdziwym typem swojego narodu. Twarz jego, chociaż o ładnych, regularnych rysach, miała wyraz znudzenia i przesytu, oczy z pod przymrużo-

nych powiek spoglądały na wszystko obojętnie a zręczna, wysoka postać była cokolwiek pochyloną. Celem zadaniem jego życia było roztrwianie ogromnych dochodów; to też przesyciwszy się wszystkimi przyjemnościami świata, miał teraz jedno tylko jeszcze życzenie, t. j., aby cały Paryż mówił o nim i o jego dziwactwach.

Ta myśl zajmowała go wyłącznie — nie przeto dziwnego, iż stał się obojętnym, nieczułym i nudnym. Był już starcem, chociaż liczył zaledwie trzydzieści lat, podczas kiedy ojciec jego polował w rosyjskich stepach i tyranizował swoich poddanych.

Anatol Leroy, radca legacyjny, dyplomata, był natomiast niskiego wzrostu, trzymał się prosto, niemal sztywno, twarz miał szczupłą, arystokratyczną, o cerze żółtawej, złośliwie uśmiechnięte usta, jasne, przenikliwe oczy, które wszystko widziały. Pomimo, że nie miał majątku, był nadzwyczaj ambitnym, namiętnym i gwałtownego usposobienia, ale przytem umięjącym bardzo nad sobą panować.

Mianował się przyjacielem Achila i wyzyskiwał tę przyjaźń przez używanie rozmaitych przyjemności, którychby inaczej odmówić sobie musiał. Poznał on na wskroś charakter Achila i czytał w sercu jego, jak w otwartej księdze, podczas kiedy sam pozostał dla Achila prawdziwą zagadką; znał on go o tyle tylko, iż wiedział, które

z jego cygar i papierosów Anatol najbardziej lubił palić.

Achil poruszył niedbale swą laską.

— Wiem, że drwisz sobie z mego ideału — rzekł — ale inaczej mówiłbyś, gdybyś „ją” był widział. Ta idealna główka, śliczna, okrągła twarzyczka, te włosy, oczy...

— Aha! — przerwał Anatol — domysł mój był jednak dobry. Więc ta zielonooka czarodziejka żyje! Czy wolno zapytać gdzie?

Usta Anatola zadrgały znów szyderczym uśmiechem; w duszy litował się nad uniesieniem swego przyjaciela.

— Na Boga, gdybym wiedział, gdzie ona, to z pewnością nie byłbym tutaj. W naszym starym zamku znalazłem raz na strychu portret — byłem wówczas jeszcze młodym chłopcem — zabrałem ten portret z sobą i zakochałem się w nim szalenie. Nie mogłem się z nim rozłączyć. Na tle czerwonego aksamitu jaśniała prześliczna głowa, okolona złotymi włosami, a zielonawe jej oczy zdawały się błyszczeć życiem, mianowicie, gdy blask słońca na nie padał. Szukałem w świecie bezustannie podobnej twarzy, ale dotąd napróżno.

— Kupcie kwiatki, panowie — odezwał się nagle tuż obok nich jakiś głos.

Mała dziewczynka biegła za nimi, a jej drobna, brudna rączka podawała im bukiecik fiołków.

— Tylko jednego franka, panowie, jednego franka — wołała.

Anatol Leroy ujął swoją laskę, ozdobioną złotą gałką i odsunął nią małą żebraczkę. — Achil zaś sięgnął do kieszeni, szukając pieniędzy.

— Dajcie pokój temu dziwakowi — zawołał radca legacyjny niecierpliwie — przeszkadzamy innym przechodniom.

Ale dziecko spostrzegło, że Achil szuka pieniędzy, szybko przysunęło się do niego i jej mała, brudna rączka wsuwała mu fiołki w dłoń i znów rozległ się krzykliwy głos:

— Kupcie, panowie, kwiatki.

Achil spojrzał na małą kwiaciarkę i...

— Tiens! — zawołał, chwytając swego przyjaciela gwałtownie za rękę — otóż to mój żywy obraz!

Duże oczy dziewczynki patrzyły z zadziwieniem na niego; instynktem niewieściem odgadła, że mu się podobała, chociaż była brudna i okryta łachmanami. Podarty, gruby fartuch pokrywał jej ramiona, na małych nóżkach miała olbrzymie trzewiki; ubrana była w krótką i podartą sukienkę. Drżała z zimna, na dworze zaczynało być mroźno i ciemno; słońce chyliło się ku zachodowi. Ostatnie jego blaski padały na jej główkę —

krótkie, nie uczesane kędziory świeciły zupełnie jak złoto, a z pod ciemnych rzęs błyszczały wielkie, zielonawe oczy.

Achil był zachwycony.

— Chodź tu mała — rzekł do niej — powiedz mi, jak ci imię.

Zeszli z chodnika, Anatol przygryzał usta z niecierpliwości, ale milczał.

— Fernanda, mój panie — rzekła swym dziecięcym, słabym głosem — a te kwiaty kosztują jednego franka.

— Chciałbym ją widzieć umytą i tę główkę na tle czerwonego aksamitu. Nie uwierzysz, jakie uderzające podobieństwo! Zabierzmy ją z sobą.

— Co za fantazja! Proszę cię, mój Achilu, nie rób się śmiesznym! — zawołał Anatol oburzony. — Ja i tak stoję tu jak na szpilkach. Idźmy!

I ujawszy Arbanowa pod rękę, obrócił się do dziecka.

— Masz tu dziesięć franków — krzyknął szorstko — ruszaj teraz precz.

Ferra schwyciła zręcznie rzucony jej pieniądz i podała mu bukiecik. Oczy jej jaśniały szczęściem.

— Idźmy, Achilu — nalegał Leroy.

— Ani myślę — odpowiedział. — Tam stoi mój powóz — chcesz jechać z nami, Ferra?

— O tak! — rzekła szybko.

Nie czuła żadnej obawy. Ci panowie byli hojni, jeden z nich nawet taki uprzejmy! Schowała starannie swój złoty pieniądz i zabrała z sobą wszystkie kwiaty.

Radca legacyjny zbliadł z gniewu i przerażenia.

— Czyś oszalał, Achilu? Wynikną z tego znów potworne plotki. Jeżeli chcesz tę żebraczkę zaprowadzić pod rękę do powozu, to pozwól, że ja się wpierw oddalę. C'est plus fort, que moi.

Książe Arbanow przytrzymał jego ramię.

— Nie żartuj, mój kochany — rzekł z uśmiechem. — Musisz jechać z nami. Pomyśl tylko, jakie nadzwyczajne i szczęśliwe zdarzenie.

A zwracając się do dziecka, dodał:

— Idź naprzód, moja mała, na rogu ulicy czekaj na nas. Rozumiesz?

Ferra kiwnęła główką i pobiegła w małej odległości przed nimi, zgrabna jak przepiórka i brudna jak kopciuszek. Anatol patrzył na nią z wyrazem obrzydzenia.

— Nie pojmuję ciebie!

— Ale czyś widział tę prześliczną twarzyczkę?

— Brudny dzieciak uliczny! fi donc! powala ci powóz!

Książę nie zważał na to; posadził dziecko na niebieskie jedwabne poduszki karety, obydwaj panowie wsiedli i powóz potoczył się ku pałacowi księcia Arbanowa.

Rozgniewany wicehrabia wsunął się w głab karety i wyciągnawszy chustkę z kieszeni, trzymał ją ciągle przy twarzy. Achil wpatrywał się z zajęciem w Fernandę, która siedząc naprzeciwko niego, spoglądała przez okna karety na szybko przesuwające się ulice i domy. Jechała po raz pierwszy w swem życiu i śliczna jej dziecięca twarzyczka promieniała radością i szczęściem.

Nareszcie powóz stanął. Achil oddał dziecko nadbiegającemu lokajowi i kazał je zaprowadzić do panny Klary, gospodyni, z rozkazem, aby je umyła i ubrała.

Z dwuznacznym uśmiechem zapukał Iwan do drzwi pokoju starej panny, która, otwierając mu sama, z zadziwieniem spojrzała na dziewczynkę.

— Kogo tam Iwan prowadzi?

Ostry ton, jakim te kilka słów wymówiła, wyrażały dokładnie całe oburzenie jej na widok dziecka.

— Tu nie ma dla niej miejsca, weźcie ją zaraz napowrót — dodała gniewnie.

— Chwilowo muszę ją tutaj zostawić — odrzekł Iwan poważnie. — Jego książęca mość kazał mi oddać wam to dziecko, a skoro będzie umyte i uczesane, mam je znowu zaprowadzić do salonu.

— Ależ, złoty Iwanie! Chybaście się prześlyszeli. Tego książę nie może żądać odemnie, abym się takiego brudasza dotknąć miała. Jaj gospodyni księcia Arbanowa!

Stara panna czuła się głęboko upokorzona, mówiła cicho, nieśmiało i zapomniiała, że zwykle żyła z Iwanem na stopie wojennej.

— Rozkaz jest rozkazem — rzekł tenże, wruszając ramionami — ale nie potrzebujecie przecież sami się tem zajmować, zawołajcie Annę. Chciałbym zresztą wiedzieć, gdzie książę „to“ znalazł — dodał na wpół pytająco, na wpół gniewnie.

Ferra stała nieruchoma. Jej wielkie, błyszczące oczy patrzyły ciekawie już to na otaczające ją przedmioty, już to na tych dwoje starych ludzi, którzy widocznie czuli wstręt do niej. Ale patrzyła na to obojętnie; do szorstkiego obchodzenia się z nią była przyzwyczajoną i nie sprawiało jej to żadnej przykrości. Inne myśli zaczęły jej się nagle nasuwać.

Tak samo działo się w bajkach, której jej opowiadała stara, kulawa sąsiadka z trzeciego piętra, a którym się zawsze przysłuchiwała z natężoną uwagą. Czuła się bardzo zadowolową z korzystnej zmiany swego położenia — tu mu-

siało być lepiej, niż w dusznym, małym pokoiku, gdzie mieszkała z rodzicami. Ojciec jej nigdy nie był trzeźwym, a matka albo płakała, albo spała.

Milcząc, pozwoliła się umyć, ubrać w czystą bieliznę i w przeciągu pół godziny stała prawie gotowa przed wielkim zwierciadłem w pokoju gospodyni, przyglądając się z wielkiem zajęciem swej małej osóbcie i zręcznym palcom ubierającej ją Anny.

Czy to rzeczywiście była ta sama Ferra, mała kwiciarka i żebraczka, która dotąd nieumyta i nieuczesana biegała po ulicach Paryża? Prawdziwym cudem wydawała jej się biała, czysta koszulka, która osuwając się z ramion, odsłaniała różowe ciało, podobne świeżością do brzoskwini. Postać jej, drobna i zgrabna, piękna twarzyczka z wielkimi, zielonawo mieniącymi się oczami, tworzyły razem prześliczną całość, a biedna Anna daremnie walczyła z jej złotymi kędziorkami. Przyciśnięte grzebieniem i szczotką, podnosiły się na nowo i otaczały kształtną główkę dziecka mnóstwem drobnych loczków. Stała tak przed lustrem, podziwiając z nieświadomością dziecięcia swoją własną piękność, kiedy naraz wszedł Iwan.

Ujrawszy Ferrę tak zmienioną, nie mógł powstrzymać okrzyku zadziwienia i chcąc się dowiedzieć, co o tem wszystkiem sądzi panna Klara, szepnęła jej do ucha:

— Nasz książę ma dobre oczy! Doskonale, bystre oczy!

Stara panna siedziała wyprostowana naprzeciwko zwierciadła, oczy miała utkwione w dziecko i milczała.

II.

W wielkim, wspaniale urządzonym salonie, palił się na kominku jasny ogień. Wicehrabia Leroy, rozparty w wygodnym fotelu, trzymał książkę i czytał. Wrócił nareszcie do równowagi po tej niemiłej awanturze; jego nos arystokratyczny obrażony był niezmiernie przykrą wonią ubóstwa, to też oblewał się teraz całami strumieniami różanej wody i Jockey-clue'u.

Achil przechadzał się niecierpliwie po salonie. Leroy zamknął książkę, spojrzał z szyderczym uśmiechem na swego przyjaciela i rzekł:

— Ma foi! Zdawałoby się, że oczekujesz każdej chwili czegoś nadzwyczajnego. Wyglądasz prawie wzruszony, ale cała to historia jest wielkim głupstwem.

Książę chciał odpowiedzieć, kiedy w tej samej chwili zapukano do drzwi; Iwan ukazał się na progu, i wprowadziwszy Ferrę, usunął się, milcząc.

Staneła zalękniona w bliskości kominka — blask ognia oświecał jej twarz i złote włosy — wyglądała tak uroczo, że Achil z tryumfem zawołał:

— A co?

— Jeżeli stanie się taką — odrzekł Leroy — jaką być obiecuje, to będzie prawdopodobnie niezwykle piękną, ale teraz jest to jeszcze dziecko, a w tym wieku przecenia się urodę bardzo łatwo.

— Ile masz lat, Ferra? Zbliź się do mnie i nie bój się — rzekł książę, wyciągając ku niej swą delikatną rękę. Dziecko przyszło natychmiast do niego.

— Matka mówi, że mam ośm lat — odpowiedziała.

— Możesz głodna? — zapytał Achil, spostrzegł bowiem, że pożądlivym wzrokiem patrzyła do drugiego pokoju, w którym przez uchylone portyery widać było stół nakryty i zastawiony srebrem i kosztownymi kryształami.

— O tak, panie, mnie się zawsze chce jeść — odrzekła otwarcie, i ukloniła się tak, jak ją tego nauczyła kulawa sąsiadka.

— Więc idźmy do stołu — zawołał Achil wesoło, — będziemy jeść wszyscy razem.

Ferra po raz pierwszy zwróciła spojrzenie ku kominkowi, gdzie stał Leroy; oczy obojga spotkały się, i mimowolny wyraz wstrętu ukazał się na zachwycającej twarzy dziecka.

Achil spostrzegł to i rozśmiał się.

— Nie zdobyłeś sobie jej serca — zawołał, wskazując na Ferrę.

— Nawet o dziesięć lat później nie zmartwiłbym się o to — odrzekł Leroy wyniośle — myślę, że znasz mój gust.

Ferra nie bardzo umiała używać widelca i noża, pomimo to jej zachowanie się przy stole było tak grzeczne, że książę nie mógł się dosyć nachwalić. A ona, jakże była szczęśliwą, że mogła jeść te wszystkie wyborne potrawy, które przed nią stały. Jak mała wewiórka gryzła cukierki, których pełen talerz przysunął jej Achil przy końcu obiadu, a po wypiciu małego kieliszka wina, twarzyczka jej zarumieniała się, oczy błyszczały, i śmiała się po cichu sama do siebie.

— Czy chciałabyś tu na zawsze pozostać? — zapytał Achil, szczerze ubawiony.

Spojrzała najpierw na kosztowne meble, na jedwabne tapety, na grube dywany i złożone świeczniki, a potem na księcia i rzekła:

— O tak, gdybym tylko mogła! U nas jest zimno, ciemno i brzydko. Mnie zawsze zimno — cały dzień chodzę z kwiatami po ulicach, ojciec się upija i bije potem matkę i mnie.

— Jak się nazywają twoi rodzice i gdzie mieszkają? — zapytał znów książę i zamyślił się.

— Na ulicy Rochefort, na podwórzu, w sklepie. Mój ojciec nazywa się Pierre Doutrange. Czy mogę doprawdy tu pozostać? — szepnęła cicho i nieśmiało.

— Nie wiem jeszcze! — rzekł książę.

— Achilu, nie rób głupstwa! Przestrzegam cię! — zawołał wicehrabia.

Ferra obróciła się szybko, przygryzła usta i spojrzała gniewnie na mówiącego, potem schwyła Achila za rękę i szepnęła:

— Niech mu pan nic nie wierzy — ja będę zawsze posłuszną i grzeczną.

Książę zamyślał się coraz głębiej, pogłaskał jej kędziorki, i zapaliwszy papierosa, rzucił się na kanapę.

Ferra, pozostawiona sama sobie, chodziła po salonie, aż w końcu położyła się na olbrzymiej niedźwiedziej skórze przed kominkiem. Wsunęła główkę pomiędzy uszy zwierzęcia, a rączkami objęła jego szyję.

— Jak tu ciepło i ślicznie — pomyślała — zupełnie jak w bajkach sąsiadki Desirée.

Nienawykłą do dobrego obiadu, ciepła i wina, ogarnął wkrótce głęboki sen. Ujrzał to Achil, podniósł się z kanapy, skinął na Anatola i obydwa zbliżyli się cicho do śpiącego dziecka. Na białej skórze niedźwiedziej wyglądała zachwycająco jej zarumieniona twarz i złote włosy. Achil był oczarowany.

— Bądźże rozsądnym, każ ją teraz zanieść do domu — jutro będzie myślała, że to wszystko było snem i żart się skończy — rzekł w końcu Leroy.

— Nie, tego nie zrobię! — zawołał książę stanowczo. — Byłoby grzechem, gdyby tyle wdzięków i piękności miało się w nędzy zmarnować. Natura rzadko kiedy jest tak hojną. Rozmówię się z jej rodzicami, wezmę ją do siebie, dam wykształcić...

Ciąg dalszy nastąpi).

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy druk niezmiernie ciekawej powieści p. t. „Dziecię z ulicy“.

ZA WINY OJCÓW.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Egzamin powiódł się dosyć dobrze. Nie byłam wprawdzie geniuszem, ale uczyłam się zawsze dobrze i korzystałam z nauk i wywiązałam się z tej sprawy jako tako.

Gdy mnie wypytywano o rozmaite rzeczy, żałowałam, że nie umiem więcej — byłam ambitną i byłabym się mocno cieszyła, gdyby madame lub pan Beaumont zdumiali się nad memi wiadomościami. Ale nic z tego — postanowiłam więc zaraz w duszy uczyć się tu bardzo pilnie, aby nagromadzić jak najwięcej wiedzy i umiejętności.

Ale jednego tryumfu miałam jednak doznać, i to, gdy po skończonym egzaminie — przeznaczono mnie do pierwszej klasy — przyszła nauczycielka muzyki, i kazała mi co zagrać.

Nie znając wymagań jej pod tym względem, usiadłam do fortepianu i zapytałam nieśmiało, co mam grać. Na odpowiedź „co chcesz“, wybrałam „Les papillons“ Schumana, które umiałam na pamięć, i jak zwykle — gdy uczułam klawisze pod palcami, zapomniałam zupełnie o miejscu, czasie i otoczeniu, i zatopiłam się głęboko w moją ubóstwianą sztukę.

Gdy skończyłam, skinęła mi madame z rozpromienioną twarzą, monsieur złożył mi niski ukłon i szepnął coś o niezmiernych zdolnościach i wybornej szkole, a nauczycielka spojrzała na mnie życzliwie, ale zmieszana, szepnęła madame do ucha kilka słów, na które odpowiedziano jej z uśmiechem i potwierdzającym kiwnięciem głowy.

— Panna Miller mówi mi właśnie, że Dora gra już tak znakomicie, jak żadna z uczennic zakładu, i że dla tego byłoby lepiej, aby brała lekcje u jednego z profesorów w Vevey.

Zarumieniłam się z radości — miałam więc tryumf, i to jaki świetny! Spojrzałam na ciotkę, która siedziała z zachmurzoną twarzą, i widocznie walczyła z szorstką odmową. Ale milczała jednak, i stanęło na tem, jak madame sobie życzyła. Któż był szczęśliwszym, jak ja?

Teraz nadeszła wielka pauza dla pensjonarek, i miałam iść do nich, aby się z nimi zapoznać. Było mi to bardzo nieprzyjemnem i czułam się onieśmiałą, wyszedłszy do ogrodu, gdzie mniej więcej dwadzieścia dziewcząt przechadzało się, lub stało parami.

Ale w tejże zaraz chwili wybiegła Stella z grona dziewcząt, zbliżyła się do mnie, wzięła moją rękę i spojrzała na mnie swemi czarnemi, wesołemi oczami — i cała moja nieśmiałość znikła, jak za dotknięciem różeczki czarodziejskiej.

Zauważyłam natychmiast, jaki wpływ wywiera Stella de Marligne na swoje koleżanki i jak szczęśliwą byłam pod jej opieką. Była ona tu powagą, królową, i wykonywała swe rządy z nieopisaną łatwością, rozkoszną uprzejmością i serdecznością, która zjednywała jej wszystkie serca. Nie dała ona też nikomu uczuć swej przewagi i potęgi; ona, prawdziwe dziecko szczęścia, potrzebowała tylko spojrzeć lub uśmiechnąć się, a wszystko działo się podług jej woli. Panowała też nad całym zakładem; wszyscy ją kochali, nauczycielki, koleżanki, służba — wszyscy!

Trzymając ciągle moją rękę w swych delikatnych, białych paluszkach, przedstawiła mi koleżankom, z których każdej dała osobne miano. Była tam Elza, nazwana „marzycielką“, śliczna blondynka o tęsknych, modrych oczach, Lilli „księżniczka“, Irmgard von Ulmsied „jaśnie oświecona“, arystokratka najczystszej krwi, Marya Prince „mól książkowy“, Ninon Bichon, „wróbel“, Ellen Balmore „baby“, Sigrid Knutson, „ekscelencya“, Dolores Y'Santez, młoda Brazylianka, nazwana „ptakiem rajskim“, i kilkanaście jeszcze innych, jasno i ciemnowłosych, ładnych i brzydkich, wesołych i poważnych dziewcząt. Wszystkie oczy były zwrócone na mnie, stojącą ciągle jeszcze obok Stelli. Rozmawiać było nam wolno tylko po francusku, po włosku lub po niemiecku, inaczey trzeba było płacić 50 centymów do wspólnej kasy, był to fundusz na rozmaite zabawy i wycieczki latem. Zauważyłam też, że moja protektorka nie była zbyt pilną, ani zbyt uzdolnioną. Z rozmaitych uwag pensjonarek domyśliłam się, że z „Koryolankiem“ poszło dziś nie tego, i że musi za karę zrobić wypracowanie angielskie. Ale to widocznie nie sprawiało Stelli żadnego kłopotu.

— Widzisz, moja droga — opowiada mi później Stella — w Paryżu uczyłam się bajecznie mało. Nie dla tego, aby mi zbywało na nauczycielach, przeciwnie miałam ich cały zastęp, ale zbywało mi na chęci i na czasie, widzisz! Jakże to wesołe było u nas życie! Jeżeli kto kiedy

umiał używać świata, to moja matka, a piękną, mądrą i wesołą była dosyć do tego! Dom otwarty, gości pełno, bale, zabawy teatr, maskarady, koncerta, wizyty, ach, cudownie mówię ci! A mama brała mnie do wszystkiego, i pragnęła mieć mnie zawsze przy sobie. Moi nauczyciele nie wymagali też wiele, i uwalniali mnie zawsze z lekcji, gdy mama o to prosiła, ach, ona była tak piękną, tak dobrą i śliczną! Nikt nie mógł jej się oprzeć!

— Musiała więc być taką, jak ty Stello — zawołałam w uniesieniu — i pocałowałam jej małą, białą rączkę. Stella widocznie była do tego przyzwyczajoną, nie zmieszała się bowiem wcale, tylko spojrzała na mnie z uśmiechem.

— Myślisz, moja blondynko? Tak, w Paryżu mówili wszyscy, że jestem do mamy podobną. Cieszę się bardzo z tego. Po jej śmierci powiadano wprawdzie — tu zmarszczyła Stella gniewnie swe czarne brwi — że była bardzo lekko-myślną co do wydawania pieniędzy, bo straciła cały nasz majątek i nadto porobiła mnóstwo długów, ale ja nie mogę oskarżać mej drogiej, ślicznej mamy; ona nie umiała rachować i nigdy o złym końcu nie myślała. Ach, ci piękni, wytworni panowie, którzy u nas bawili! A mój brat zawsze najpiękniejszy i najweselszy z wszystkich.

— Czy jesteś do niego podobną Stello? — zapytałam.

— Nie, wcale nie! Henryk jest żywym obrazem ojca, wysoki, wysmukły jak topól, twarz dumną zdobi piękny, jasny wąs, ręce i nogi ma jak kobieta, słowem, prawdziwy arystokrata. Miałam jego wielką, doskonale wykonaną fotografię, ale madame mi ją skonfiskowała, bo razu pewnego przybrałam mój stolik kwiatami, zapaliłam świecę, postawiłam pod nią obraz Henryka i zebrawszy kilka koleżanek, zaczęłam im opowiadać o moim bracie. O jego swawolnych i szalonych wybrykach mogłabym opowiadać godzinami i nie rozmawiam o nikim i o niczym na świecie tak chętnie, jak o moim dzielnym Henryku.

— I przytem zastała się madame? — pytałam ciekawie.

— Tak, „jaśnie oświecona“ była niedyskretną i zanim się spostrzegłam, stanęli przedemną monsieur (pan) i madame, zgasili świecę, zrzucili kwiaty i zabrali piękną fotografię. Cała moja radość znikła. Oznajmili mi potem, że wykłady o oficerach nie należą na pensję żeńską. Monsieur żałował mnie, widziałam to po jego oczach, gdyż on mnie bardzo lubi i ciebie polubi także, masz

bowiem taką uroczą buzię! Oni są oboje jedyni ludzie, monsieur i madame i kocham ich też z całego serca. Muszą oni jednakże udawać szorstkich i surowych i być dobrym przykładem dla młodzieży pod względem powagi i dobrego tonu. To okropność! Ale tak już jest na świecie. Dzwonią na obiad, który jest zawsze nieco nudnym, potem odjeżdża twoja ciotka Georgina wraz z mojem błogosławieństwem, bo takich twarzy, jak ona ma, nie cierpię. Ty przecież także jej nie kochasz, inaczej nawet być nie może!

V.

Jakżeby inaczej być mogło! To pytanie stawiłam sobie, gdy po dwóch godzinach żegnała się ciotka Gina ze mną w salonie pani Beaumont. Gdy patrzyłam w jej zimne, szare oczy, doznawałam jednego tylko uczucia, to jest uczucia radości, że wreszcie zostanę uwolnioną od jej towarzysztwa, że zostanę samą, że nikt nie będzie już mi tak dokuczał i innych źle dla mnie usposabiał. Z tem wszystkiem czułam żal, że dla opiekuńki mych lat dziecinnych nie mam żadnego przywiązania, żadnej miłości, lecz tego nie można zmienić!

— Spodziewam się napewno Doro, że będziesz pilną, uważną i że będziesz starała się o pozyskanie szacunku i miłości tak twoich nauczycieli, jak i twoich koleżanek. Znajdujesz się pod jak najtroskliwszą opieką; jesteś też w tym wieku, w którym człowiek sam nad sobą musi pracować. Pamiętaj o tem! Hamuj twoje namiętności zawczasu, poskromnij twą ślepą gwałtowność, twój upór, dziecinną zaciętość, a mianowicie — twoją niestosowną ciekawość; spróbuj pozbyć się twej obojętności i niewdzięczności, co dla młodej dziewczyny wcale nie jest dobrem i nie zważaj na pozory, do czego masz wyraźną skłonność! Mam też nadzieję, że przestaniesz intrygować i szpiegować, bo nie znajdziesz tu do tego sposobności; mnie nabawiłaś przez to nieraz wielkich nieprzyjemności. Opuszczam cię na długi czas, kto wie, kiedy się znowu zobaczymy! Zamierzam zawsze do ciebie pisać dwa razy do roku, na Nowy Rok i na twoje urodziny i przypuszczam, że uczynisz tak samo. Zresztą zaczniesz teraz korespondować z twoją babką — no, czego się lękasz?

Zadrżałam rzeczywiście i nie mogłam pokryć mocnego wzruszenia.

— Czy ona sama — sobie — tego życzy? — wyjąkałam cicho.

— Naturalnie Doro. Co cztery tygodnie otrzymasz od niej list, na który po upływie tygodnia

regularnie odpowiesz. W jakim tonie mają być twoje odpowiedzi, to ci babka wskaże najlepiej w swoich listach, uważam cię za dosyć mądrą, abyś wszystko zrozumiała. A teraz żegnam cię — widzę, że powóz zajeżdża, muszę stanąć wnet w Vevey. Miej staranie o twoje zdrowie i nie daj się opanować złym wpływom, które, jak wszędzie, tak i tu mogą ci grozić. Jeżeli czujesz potrzebę przywiązania się do kogo, o czym zresztą wątpię — to bądź ostrożną w wyborze; wszelkie zaś życzenia masz odtąd wyjawić twej babce. A teraz, po raz ostatni — żegnam cię!

Zimnemi ustami dotknęła mego czoła i zwróciła się ku drzwiom. Ale i ja odzyskałam mowę i nie namyślając się długo, zebrałam całą odwagę i rzekłam głośno:

— Zanim odejdiesz, ciotko Gino, muszę ci podziękować za to, że tak długo opiekowałaś się mojem życiem i zdrowiem. Zresztą jednak nie starałaś się nigdy zrozumieć mnie, nie pomyślałaś, czy mam serce i czy nie pragnę czego. Jeżeli mówisz o mnie do innych, to mówisz źle, bo mnie nie znasz i nie wiesz o moich prawdziwych uczuciach tak samo, jak ja nie wiem o twoich.

Ciotka Gina była zanedo zdziwiona, aby mi mogła natychmiast odpowiedzieć; kto wie, coby mi była rzekła i w jaki sposób byłoby się nasze pożegnanie skończyło, gdyby nie monsieur, który otworzył drzwi i przeprosiwszy grzecznie za narzucanie się, oznajmił, że najwyższy czas do odjazdu, jeżeli miss Marlow nie chce się spóźnić na pociąg.

Ciotka Gina podziękowała uprzejmemu panu Beaumont, spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem i w towarzystwie monsieur'a wyszła z pokoju.

Zaledwie się drzwi za niemi zamknęły, gdy poruszono gwałtownie czerwone portyery, oddzielające salon od jadalni, i ku memu niezmiernemu zdumieniu stanęła na progu Stella. Zbliżyła się do mnie i ujęła moje ręce.

— Ach, Doro, jakże wybornie postąpiłaś sobie — zawołała z uniesieniem, całując serdecznie moją twarz. — Skądże zebrałaś odwagę na wypowiedzenie tego ostatniego zdania? Twoja Georgina wyglądała wcale nie zbyt mądrze, jest to okropny gatunek ludzi, dobrze, że już odjechała. „Niebezpieczny wpływ“, to naturalnie ja, domyśliłaś się zaraz tego? Uważałam sobie za zaszczyt, że taka osoba, jak Georgina, nie lubi mnie, jej sympatya obrażałaby mnie tylko! Pójdź teraz ze mną do ogrodu, znam tam jeden kącik, gdzie nam nikt nie przeszkodzi i musisz mi wszystko jak najdokładniej opowiedzieć o twojem życiu,

a jak ty skończysz, zacznę ja, potem znowu ty, potem ja i tak dalej.

— O chętnie! Bardzo chętnie? Ale twoje zadania na jutro?

— Ach, co tam zadania! Koyrolanek przyjdzie dopiero za trzy dni, rachunki robi mi „eksce-lencya“, a Greta napisze mi te okropne reguły gramatyki niemieckiej. „Marzycielka“ narysuje dla mnie kartę Pyrenejów, umie ona bowiem bardzo pięknie rysować, podczas kiedy ja muszę pędzić życie bez żadnego talentu, chyba mam ten jeden, że mnie wszyscy lubią. I to coś znaczy. Oprócz tego jest na jutro Schillera: „Graf von Habsburg“ do nauczenia się na pamięć i tego już nikt za mnie zrobić nie może. Ach, ci klasyści!

Potem poszliśmy do ogrodu; Stella wydała rozkaz, aby nam nikt nie przeszkadzał i usiadłszy ze mną w jednej z altanek, zaczęła mnie wypytwać o całe moje dotychczasowe życie.

Cóż miałam jej opowiadać? Przeczuwałam i domyślałam się czegoś z przeszłości moich rodziców, ale nie wiedziałam zgoła nic na pewno, a domysły moje były też bardzo słabe. Żyłam dotąd tak jednostajnie, że nie potrzebowałam wiele opowiadać. Nie zataiłam Stelli nic, ani bytności na cmentarzu, ani znalezienia portretu mej matki, ani mej krótkiej znajomości z Ellą Welling.

Stella uważała, że to wszystko jest „okropnie zajmującym“, chwaliła moje zachowanie się względem ciotki Giny i rzekła, że i ona domyśla się czegoś co do moich rodziców, ale że mi tego nie może powiedzieć, ponieważ jestem jeszcze za młodą i niedoświadczoną, aby wszystko zrozumieć.

Przed udaniem się na spoczynek pokazałam jej portret matki; Stella była zachwyconą jej pięknnością i wdziękiem.

— Właściwie jest ona więcej urocza, niż ty Doro — rzekła poważnie — ponieważ wyraz jej szafirowych oczu jest tak łagodny i miły, ale ty wyglądasz za to jak cudzoziemka, można się nieomal przestraszyć, gdy nagle podniesiesz twe wielkie, czarne, aksamitne oczy!

Odtąd rozmawiałyśmy często o moich rodzicach; Stella obejmowała mnie zwykle wtenczas za szyję i ze łzami w swych promiennych oczach mawiała:

— Ach, Doro, jak to smutnie, że nie znałaś nigdy miłości rodziców i rozkoszy życia domowego! Widzisz, skoro cię tylko ujrzałam, już cię pokochałam, bo jesteś piękną i dobrą! A teraz kocham cię sto razy więcej jeszcze i nie wiem, jak ci to okazać, a przytem żal mi cię z całego

serca. Takie biedne, opuszczone dziecię! Twoja Georginowa ciotka zgrzeszyła względem ciebie, że ci nic nie opowiadała o twoich rodzicach; było to jej powinnością, a twojem słusznym życzeniem. Tacy to są ludzie, którzy wychowują biedną sierotę! Powinni przecież starać się o to, aby dzieci kochały pamięć rodziców i nigdy o nich nie zapominały. Pomyśl tylko, Doro, czy rzeczywiście nie możesz sobie przypomnieć twoich rodziców?

Jak już tak często dawniej, zamykałam i teraz oczy i natężałam pamięć — nic i nic! Żadnego najmniejszego wspomnienia, żadnego punktu oparcia, wszędzie ciemność głęboka, bolesna. Spojrzałam na Stellę i smutnie poruszyłam głowę.

— A ta babka zdaje się mieć trochę za małe serce — mówiła dalej Stella. — Cemu ona nie wychowała cię? Przecież to byłoby najstosowniej! Cóż ostatecznie ma być z ciebie, gdy pełna mądrości ziemskiej opuścisz pensję?

— Nie wiem, Stello, pocóż miałam pytać o to ciotkę Ginę? Wiedziałam zawsze z góry, jaką odpowiedź otrzymam: „Nie bądź ciekawą, przyszłość pokaże, a każde dobre dziecko powinno robić to, co mu starsi ludzie każą!”

— Ach, to wieczne „musi, powinno“, to jest okropność — mówiła Stella gniewnie, uderzając ręką w stół. — Temi słowami doprowadzał mnie mój wuj w Paryżu nieraz do rozpacz. Kogo „musiałam“ słuchać, gdy mieszkaliśmy w naszym pięknym pałacu przy ulicy St. Germain, kto mi rozkazywał, kto mnie popychał tu i tam, jak istotę bez żadnej woli? Nikt! Robiłam, co mi się podobało, a co mi się nie podobało, do tego nikt mnie nie przymuszał. A teraz? „Musisz“ to, „musisz“ owo, to jest koniecznie potrzebne i „musisz“ się na to zgodzić. Nie i po tysiąc razy nie, mój panie wuju — zawołała Stella z iskrzącymi oczyma — nie muszę i nie zrobię! Ty jesteś ociężały wieśniak, bo od dwóch lat dopiero mieszkasz w mieście, a ja jestem żwawą Paryżanką, zobaczymy, kto zwycięży!

Uniesiona namiętnym gniewem, zaciskała białe ręce i podburzała mnie, a ja stałam się odważniejszą i przysięgałam sobie w duszy, że będę walczyć z ludźmi i światem i nie ulegnę nigdy! Nie ustąpię nikomu, choćby chodziło o życie.

Stella, pomimo swej młodości i dziecinnych nieraz poglądów, posiadała rzeczywiście wiele do-

świadczenia i inteligencji; nie napróżno przebywała do piętnastego roku życia w wielkim świecie i widziała najrozmaitszych ludzi, lecz ja byłam dzieckiem jeszcze, chociaż więcej czytana, jak moja ubóstwiana przyjaciółka. Czy można jednak gromadzić doświadczenie i nauki z książek? Nie, to nam daje tylko życie samo, a ja dotychczas żyłam bardzo mało.

Nie mam bynajmniej zamiaru opisywać szczegółowo mego pobytu na pensji; w najgłówniejszych rzeczach był on jednostajnym i spokojnym. Bawiłyśmy się razem, uczyły, pracowały, otrzymywałyśmy pochwały lub nagany, robiłyśmy rozmaite wycieczki, rozmawiały o nauczycielkach, gniewałyśmy się nieraz na różne drobne przykrości, które nas spotykały i tak żyłyśmy dalej a dalej.

To tylko powiedzieć mogę, że pensja ta była bardzo dobrą pod każdym względem; panowało tam tak zwane „sans gêne“ (bez przymusu), a jednak wszystko było wytworne, świadczące o wybornem wychowaniu przełożonej i jej męża.

Nauczycielki były znakomite, okolica zachwycająca, a troskliwość serdeczna o nasze zdrowie i dobro. Z najwyższym szacunkiem wspominam o panu Beaumont, z prawdziwą wdzięcznością o jego szlachetnej, uprzejmej małżonce, która z wolna pozbyła się swego uprzedzenia do mnie, okazując mi szczerą dobroć i uprzejmość, która mnie w pierwszej chwili mego przybycia tak dobroczynnie wzruszyła. Ta rozsądna kobieta ufała widocznie więcej swemu darowi spostrzegawczemu, niż niepochlebnym słowom ciotki Giny, a widząc mnie zawsze obok Stelli de Marigny, uwierzyła w końcu, że posiadam serce i nie jestem głazem.

O, moja ukochana Stello! Jak przed wschodzącym, zwycięskim słońcem ustępują szare mgły, tak znikła moja nieufność, bojaźń, mój wstręt do ludzi przed twym promiennym, rozkosznym uśmiechem. Widzę ją — widzę ją wyraźnie oczami mej duszy, tę wiotką, niezrównanie wdzięczną postać, tę śliczną główkę, pochylającą się pod ciężarem czarnych, bujnych warkoczy, tę białą szyję, cienką i delikatną, jak u dziecka, te czerwone, uśmiechnięte usta, których śmiech serdeczny tak był pociągającym, że nieraz, jak na rozkaz jego, wybuchała cała klasa niepowstrzymanym śmiechem, nie wyłączając nawet i nauczycielki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Cierpicie bóle?

Reumatyczne, podagryczne, ból głowy, zębów? Nabawiliście się czego przez przeciąg przeziębienia? Spróbujcie jednak uśmierzającego bóle, gojącego, wzmacniającego fluidu Feller'a z marką „Elsa-fluid“. Jest on rzeczywiście dobry! To nie jest reklama! Próbną tuzin 5 kor. franco. Wytwórcą jest tylko aptekarz E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260 Kroacya.

Marga Rodziewiczówna.

JERYCHONKA

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Była to dziewczyna trzydziestoletnia, zwiędła i mizerna, bladej cery i twarzy jakby zastygłej, na której nie bywało uśmiechu, ale i nie było goryczy, tylko spokój i powaga. Oczy miała bardzo zmęczone i na czole dużo zmarszczek, a usta blade.

Obejrzała się dopiero, gdy jej Magda położyła obie ręce na ramionach i pocałowała ją w głowę.

— A, to ty? Myślałam, żeś wyjechała. Nigdzie cię nie widać!

— Nie bardzo widocznie tęskniłaś, kiedy nie wstąpiłaś tyle czasu. Miałam dużo zajęcia i czekałam na ciebie co sobotę na wieczór. Cóż słyszeć?

— Nic złego. Zawszem na miejscu. Zarabiam, ojciec zdrowy; wieczorem, ot, żeby nie próżnować, tęę ętykiety i słucham muzyki.

— Prawda, masz bezpłatny koncert. Daj nożyczki; będę, gawędząc, i ja rozcinała! To twój rysunek?

— Mój. Rozcinaj uważnie, bo brakują za byle co.

— No, i cóż ci płacą za to?

— Dziesięć centów od tysiąca.

Magda rzuciła nożyczki.

— A toś szalona za tę cenę oczy tracić.

Berwińska ruszyła brwiami.

— Gdy się wprawić, nie takie to straszne. Robi się machinalnie i na wieczór ma się zarobku około pół guldenu. Dobrze i to.

— Ty jeszcze z tego zarobku kupisz sobie kamienicę! — zaśmiała się Magda.

— Po co mi kamienica! Chciałabym na starość mieć mały domek z ogródkiem, kędyś na skraju przedmieścia i polem. Hodowałabym sobie róże i sadiła warzywa.

— A prędko dojdiesz do tego marzenia?

— Nie wiem. Tymczasem właściciel upatrzonej przezemnie posesyi droży się z ceną.

Magda nie pytała się dalej. Berwińska, gdy mówiła o sobie, zbywała to krótko i obojętnie, jakby rzecz nie wartą rozmowy.

Znały się z Magdą ze szkół w Dreźnie. Wtedy Berwińska była wesołą dziewczyną i uchodziła za majątną. Pustak to był i swawolnica, przytem zdolna i inteligentna. Nagle pewnego dnia ojciec ją wezwał depeszą. Pojechała na czas jakiś i nie wróciła wcale. Po pięciu latach Magdą ją spotkała wypadkiem na ulicy w Krakowie i była już taka jak obecnie. Pracowała w litografii, mieszkali z ojcem w ruderze. Magda nie śmiała jej o nic pytać, bo czuła, że to życie wielka katastrofa zniszczyła, i nie chciała urazić może już zabliźnionych ran.

Znalazła w Berwińskiej wielką głęb i delikatność uczuć, spokój i pogodę sądu, szczerą radę i życzliwość. Mówiła tedy o sobie, a Berwińska słuchała chętnie, stała się jakby jej spowiednikiem i doradcą. Z czasem stosunek ten stał się dla Magdy potrzebą i coraz się zacieśniał.

A przez ten czas Berwińska ani razu przecież nie wspomniała o sobie, nie odkryła swych ran i duszy.

— Skończyłaś z baronową? — zagadnęła.

— Łada dzień. Zapiszę go sobie radośnie w kalendarzu.

— Cóż? Kapryśna? Nie rada z twej pracy?

— To nie, ale jej nie cierpię.

— Oho! Masz takich, których nie cierpisz.

A wiesz czego to dowodzi?

— Nie.

— Że masz takich, których kochasz.

— No, pewnie. Marynię zaraz z brzegu.

— Nie o tem mowa. Masz kogoś... jednego.

Magda trochę się zarumieniła.

— Ty wiesz i to przecież — odparła.

— Zawsze to samo! To cię przepraszam za posądzenie i wracam honor.

— Teraz to nie honor, ale głupota. Przyszedł do ciebie, jak do chirurga na operację. Chcę stąd wyjść zdrowa.

— Mów zatem, a raczej zaczekaj, bo mi ojciec obiad daje. Zaraz się z tem załatwię.

— Dotychczas nie jadłaś?

— Nie. Zwykła to moja godzina. Kwestya nawyknienia, bynajmniej nie umartwienie. Nie lubię jeść w warsztacie, a wracać na obiad niewygodnie. Więc urządziłam się arystokratycznie: jadam wieczorem.

Staruszek chrząknął w kuchence. Widocznie nie chciał, aby Magda oglądała jego preparaty kulinarne. Berwińska wyszła i po dziesięciu minutach była z powrotem.

— Teraz ojciec wyjdzie do znajomych na gawędę, a ty mów. Mamy cały wieczór spokojny, wypijesz ze mną herbatę?

— I owszem.

— Berwińska zajęła się samowarem, a Magda tymczasem, podparwszy twarz ręką, wpatrywała się w lampę i odpoczywała po długim przymusie towarzyskim.

— Właściwie co jest miłość? — zaczęła powoli, może nie uważając, że myśлом już dała wyrazy.

— Szczyt lub przepaść! — odparła lakonicznie Berwińska, zabierając się znowu do roboty.

— Jak wiesz, byliśmy tyle lat jak rodzeństwo, potem jak dwóch kolegów. Nie było nigdy mowy o miłości. Aż kiedyś, niespodzianie, on przyszedł do nas rano, zamyślony, nieswój i wyciągnął mnie na wędrowną na Via Appia. Po drodze powiada: Dziwny sen miałem. Widziałem siebie rannym i chorym, a przez pustynię ku mnie ty szłaś, niosąc mi wodę i lampkę zapaloną, a choć to ty byłaś, jednak miałaś u ramion skrzydła jak Psyche, a nad głową półksiężyc Dyany. Wydałaś mi się nad wyraz piękną i uroczą. Wypiłem wodę i poczułem się zdrow; wstałem, a tyś szła przodem, lampkę dłonią przysłaniając, aby mi świeciła na ścieżce. I przyszliśmy do ścian, na której stały jakieś litery, niby na sarkofagu. I tyś mi je lampką oświeciła i czytałem:

„Trzymaj skarb, bo on twą mocą“.

Popatrzyliśmy na siebie inaczej niż dotychczas, i szliśmy dalej w milczeniu. Wreszcie on powiada:

— Obudziłem się, i serce mi biło do ciebie. I bije dotąd, spróbuj!

Alem nagle poczuła, że tego uczynić nie powinnam, więc potrząsnęłam głową.

Nie nalegał i rzekł poważnie:

— Jestem pewny, żeś mi przeznaczona na talizman! Bądźże mi łaskawą, o Psyche! Chciałbym wiedzieć twe myśli w tej chwili.

— Myślę — odparłam — że jeśli mnie pokochasz, to muszę ci odplacić całym życiem.

— To weź moje życie: niech nas nic nie dzieli. Pójdziemy zawsze razem! Ja cię kocham.

To wyznanie nappełniło mnie wielką powagą. Dotychczas on mnie traktował, jak niedorostka. Poczułam się człowiekiem, zrozumiałam obowiązki, nabrałam godności. Serce mi przecież nie biło nadzwyczajnie. Jak ty mówisz, stanęłam na szczycie, nie w przepaści. Miałam wrażenie, że jestem w gotyckim tumie i że mi organy grają modlitwę.

Trwało to parę tygodni. Zdarzało mi się, żeśmy w wędrownkach znaleźli się zupełnie samotni wśród zwalisk. Szkicowałam ruiny; on, zamyślony, siedział obok. Nagle rzecze:

— Czy się mnie nie boisz? Mam szaloną, wrażliwą naturę, pełną fantazy i sprzeczności.

— Musisz mieć taką, boś artysta.

— Może to być racya. Ale ja nie wierzę, bym mógł uszczęśliwić, ani nawet ocenić szczęście. Kocham cię.. na twoją niedolę!

— Cóż robić? — odparłam ze śmiechem.

— Obiecuj mi, że mi wiele wybaczysz i że mnie w najgorętszej chwili nie opuścisz. Z tem zapewnieniem...

— Będiesz broił swobodnie.

— Może być, ale nie popełnię ostateczności. Będiesz moją świętością. Ty czysta, jak woda i płomień. Weź mnie na własność i opiekę.

— Dobrze!

— Cokolwiekby się stało, nie odrzucisz mnie i nie pogardzisz? Będę zawsze twoim?

— Będiesz.

— Więc przysięgnij.

— Przysięgam! Nigdy cię nie opuszczę i od ciebie nic wymagać nie będę.

— Dziękuję ci. Czuję się bardzo silnym.

Była to dziwna umowa, ale podobała się nam obojgu.

— Jakbyśmy zawierali ślubne braterstwo skandynawskie! — rzekł.

— Tak z jednej strony, bo ja do niczego się nie obowiązuję — odparłam pełna dumy.

— Bo ty mnie nie kochasz!

Nie odpowiedziałam nic. Może i miał rację. Możeby żadna kochająca kobieta na taki warunek nie przystała, ale ja go znała do gruntu i wiedziałam, że mi daje wszystko, co może. Wiedziałam, że mi nigdy nie skłamię i że do nikogo innego nie przyjdzie pożalić się w walce lub nie-

szczęściu. To dziwne, lecz wolałam jego mieć na własność, niż być jego własnością... Byłaż to miłość?

Podniosła swe myślące oczy ku Berwińskiej

— A no, to zależy, jak dotrzymałaś umowy — odparła tamta poważnie.

— Nie miałam czasu dotrzymać, bo w parę dni potem wezwano go do Wiednia, gdzie niespodziewanie wziął po ciotce milionowy spadek.

— A przy pożegnaniu?

— Obiecał pisać i nie odezwał się przez dwa lata — i obiecał mi przywieźć różę jerychonkę, i przywiózł.

— Więc wrócił?

— Tak, przed kilku dniami, z Ostendy w ślad za baronową Faustanger.

— I zaczął z tobą od zwierzeń, wedle umowy!

— Tak, i to mnie wcale nie bawi.

— Dla czego?

— Nie wiem. To mnie nie nudzi.

— Lub drażni?

Magda zamyśliła się, a Berwińska zaczęła mówić powoli i poważnie:

— Widzisz, to jest jeszcze dziwniejsze! Dusza ludzka jest tak opłątana ciałem, jak Laokoon węzami. Radaby wzlecieć, lecz do ziemi ją ciągną zmysły i pragnienia doczesne. Obiecałaś duchem, a teraz skrzydła nie mają mocy. Żeby twa ofiara była we czci i chwale ludzkiej, możebyś ją podjęła; ale, że w zamian za nią osiągniesz pogardę, lekceważenie, drwiny, a w najlepszym razie milczenie, więc cię nawet duma opuściła i chcesz być jak inne. Chcesz mieć swe upojenia i radości, swe zawody i szczęście. To zupełnie zrozumiałe, tylko — szkoda ciebie.

— Mylisz się! Wcale nie pragnę być jedną ze zdobyczy Filipa, ale nie chcę patrzeć i słuchać jego zachwyty nad jego własnym nieszczęściem. Bo ta kobieta zgubą jego będzie.

— Powiedz mu to i usuń się.

— Szkoda mi go! — szepnęła Magda.

— Więc zostań, czem miałaś być. Przecierpisz strasznie, ale to cierpienie uchwyci ciebie w czyściwości wody i płomienia, da ci cześć dla samej siebie i będzie ci natchnieniem wzniosłem. To bardzo ciężkie i trudne, ale ty to lubisz i raz się przemógłszy, będziesz sobie wdzięczną. Zaznasz wiele mąk, ale nie poznasz najgorszych: upokorzenia, wstydu i niesmaku. Tybyś tego nie przeżyła!

— Nie! — wzdrygnęła się z obrzydzeniem Magda. — Dziękuję ci za tę rozmowę. Trochę mi jaśniej w myśli. Ty mnie lepiej znasz, niż ja sama siebie. Zdaje mi się teraz, że to mi właśnie

dolegało, iż chciałam postąpić wbrew naturze. Miałam złudzenie, że nie jestem sobą! Masz rację — przysięgam, dotrzymam!

Podniosła rozjaśnione oczy i uśmiechnęła się do poważnej towarzyszki.

— Tobie to wszystko wydaje się straszną marnością.

Berwińska potrząsnęła głową.

— Nie. Bardzo dla mnie ważnym i szanownym jest wszelki ból, który się u Boga zapisuje, i wszelki czyn, który na ziemi nie pragnie zapłaty. I nadewszystko poważam miłość, która daje i nie żąda niczego za to.

Magdzie się zdało, że na te słowa zagrały jej znowu w duszy organy modlitwy, a Berwińska dodała, wstając:

— Kogo się kocha, to podrzędna kwestya, ale jak się kocha — to wszystko. Miłość napęnia świat, ale taka, która nie napęni nieba.

— Ja swojej tu nie zakopię! — rzekła już hardo Magda.

— Pamiętaj o tem przy nim! — z naciskiem odpowiedziała Berwińska.

— Ty myślisz o krwi i nerwach! Jego zwierzienia to najskuteczniejszy przeciw nim środek. Słuchajcie tych szczegółów i sposobu, w jaki je traktuje. Można tylko nabrać wstrętu, a nie ochoty. Znadto mu byłam kolegą, żeby był pociągającym!

Z ogródka dolatywały tony walca. Magda słuchała chwilę i rzekła z dźwiękiem serca w tonie i oczach:

— A znadto jest mi drogim i własnym, żeby drugi mógł istnieć poza nim. Więc bezpiecznam.

Berwińska wstała i nalała herbaty, potem zaczęła etykiety składać w setki i rzekła:

— Jak ty Filipa, tak ciebie kocha Oryż. Życie tak wszystko płacze. Za Oryża będziesz także miała zasługę, że się nie zatraci.

— Trzeba przedewszystkiem mieć dużo zimnej krwi, aby słuchać jego absurdów.

Ledwie domówiła tych słów, gdy do drzwi ktoś zapukał, a zaraz potem ukazał się właśnie Oryż w jakiejś śmiesznej marynarce, której rękawy kończyły mu się u łokci.

— Ładnie mnie pani urządziła! — zawołał bez powitania do Magdy. — Dałem się złapać najgłupiej. Z namowy pani poszedłem po te książki do Finka, a on mnie zaaresztował. Zabrali mi surdut, kamizelkę i kapelusz i kazali rysować. Ja tego pani do śmierci nie daruję!

— Przecież pan sobie zaradził i uszedł — śmiała się Magda.

— At, gdybym pani nie wypowiedział swej pretensyi, toby mnie żółć zalała. Przekupiłem chłopca z drukarni, zdałem mu spencer i przyszedłem. Pani musi być w zмовie z Finkiem; to niegodne!

Zaczął szperać po kieszeniach i wydobył kilka srebrników.

— Dalibóg, cztery szóstki. Solidny chłopak! Wstąpię do bawaryi i wypiję za jego zdrowie. A na pani potrafię się zemścić. Teraz, dalibóg nie wiem, co się stanie z Boińską. Pani po kobiecemu urządziła czułą scenę, zapaliła się i zgasła. Niczego trwałego spodziewać się nie trzeba. To dopiero plemię utrapione.

— Może pan chociaż ofiaruje na obiad dla Boińskiej te cztery szóstki.

— A nie wstyd pani nawet takie rzeczy proponować. Toć kobieta-siostra w niedoli, a pani ma bezczelność mnie jej utrzymaniem obarczać!

— Owszem, wstydzę się, rumienię i dziękuję za moralną naukę i wskazanie drogi obowiązku. A może mnie pan do domu odprowadzi?

— Dobra sobie pani! Gdzie Rzym, gdzie Krym! Bawarya tu, na podwórzu, a ja będę podszwy zdzierał, opiekując się panią! Za historię Finka może, przez wdzięczność? Żegnam panię, bardzo proszę odróżniać mnie od błaznów, uganających się za kobietami, i nie brać za jedno!

Zawrócił się na pięcie i wyszedł z miną obrażoną. Zaledwie drzwi zamknął, Berwińska rzekła pobłażliwie:

— I szóstki zostaną w spencerze i on będzie cię do północy wyczekiwał pod bramą.

— Nie narażę go na to, bo już odchodzę. Do zobaczyska, Helciu, dziękuję ci za rozmowę. Czuję się zdrową. Przyjdiesz w niedzielę?

— Spotkamy się u Maryi Panny. Do widzenia.

Podążyły sobie ręce, uśmiechnęły się serdecznie, Magda wyszła, coś nucąc.

W bramie, wtulony w kąt, czatował rzeczywistość Oryż. Nie zbliżył się, ani odezwał, tylko, jak policyant szedł za nią w odległości dziesięciu kroków. Na ulicach było już pusto. Minęli planty i weszli na Floryańską. Przy bramie swego domu Magda się obejrzała i rzekła ze śmiechem:

— Dziękuję panu za troskliwość i opiekę.

Oryż w jednej chwili przybrał postać pijaka, chód chwiejny, wejrzenie mgławie i głosem chrypliwym zaśpiewał:

„Kiedym jechał na Kujawy,
Szczekał na mnie pies kulawy,
A dziewczyna w progu stała,
Jeszcze lepiej przeczłowała“.

Minął ją, jakby nie widział i nie znał i poszedł, trochę się zataczając w stronę Rynku.

III.

W kilka dni potem wpadł Filip do pracowni Magdy, wesół, ożywiony, swobodny.

Majorowa, obrażona na niego za długą nieobecność, mimowoli uśmiechnąć się musiała na widok jego dawnej, swawolnej twarzy.

— Ach, ty niecnoto, gdzie się wałęsasz?

— A zaraz bura! Urządzałem się, i dziś przyjechałem po panię, aby raczyły mnie odwiedzić we własnym mieszkaniu.

— Gdzież to?

— Na Plantach. Ale panie zarazem spróbuj moich koni i powozu. Stoi przed bramą.

— Co, kupiłeś konie i powóz? Słyszane rzeczy! A toć dorożek ci brak, czy co? A na piechotę nie laska?

— Na piechotę będzie czas, gdy zjem spadek. Teraz będę nóg oszczędzał. Proszę się zbierać, bo śniadanie ostygnie.

— Awantura! Chłopak oszalał! Cóż, jedziesz Magdo?

— Ależ i owszem. Czyś zaprosił jeszcze kogo?

— Będzie Malicki, Fink, no, i Sylwester.

— Ano, ostro się reklamujesz widocznie.

— A cóż! Muszę być sławnym! — odparł, patrząc na nią z porozumieniem.

— Więc jedziemy! — zdecydowała majorowa, która w gruncie rzeczy ogromnie była ciekawa i koni, i mieszkańia, i śniadania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Fabryka w Skawinie !

Prawdziwa

Franczka z młynkiem do kawy

MARKA FABRYKI

najdoskonalsza przymieszka do kawy!

pl y 1537, 12-9 1.

:: HUMORYSTYKA ::

Pomiędzy literatami.

- Wyobraź sobie i ten Bazgralski umarł na trzy dni przed wystawieniem swojej sztuki w teatrze!
- Ha, widocznie los łaskawy, nie pozwolił mu doczekać się tej hańby!



Dziecię czasu.

Matka: No, dzieci, bawcie się grzecznie razem. Stasia niech będzie dzieckiem a Wańdzia niańką. A czym ty chcesz być, Kaziu?

Kazio: To ja w takim razie będę strażakiem!



Gutaperkowe myśli.

Kobieta jest tak długo młoda, póki jest dzieciną; jednakże stare kobiety bywają najczęściej dziecinne.

Kto nie spostrzega cudzych błędów, ten doskonale zna własne.

Niektórych nazywają oryginałami dla tego, że są krańcowymi egoistami.

Kobieta wtedy ma największe zmartwienie, kiedy sama jest niewielka.



Sprytay pryncypał.

— Żałuję niezmiernie, że nie mogę pana dać tej posady, ale ja przyjmuję tylko ludzi żonatych.

— Czy wolno przynajmniej zapytać, dlaczego?

— Bo żonaci siedzą zwykle dłużej i nie spieszą się do domu.



Na giełdzie.

— Ładne czasy! stary i stary! Wyobraź sobie, wczoraj znowu zrobiłem śliczny interes, na którym straciłem przeszło trzydzieści tysięcy marek.

— Bagatela! To panu trochę poderwało nogi!

— O i jak jeszcze! Ale co pan powie na to, że w tem wielkiem nieszczęściu straciłem sto marek własnych pieniędzy.



Zawsze ten sam.

- Więc pan pragnie poślubić moją córkę?
- Tak jest, szanowny panie.
- Jakież jest pańskie zajęcie?
- Dziennikarz.
- Ach! w takim razie bierz pan moją córkę, bierz ją pan! Bo ja właśnie w tym czasie rozszerzam swój interes i będę na gwałt potrzebował reklamy w pismach.



Mądra żona.

— Powiedz mi pan, czy to prawda, że pańska żona jest bardzo uczoną kobietą?

— Ależ, broń Boże, mój panie! Ona jest na to zbyt mądra!



— Panie doktorze, czy pan zna tego bociana co to dzieci przynosi?

— Znam, a bo co?

— Może pan mu powie, żeby mnie stąd nad odniósł, bo tu za byle co biją...



Naiwny podłotek.

Ojciec: I ty odważyłaś się Maniu pocałować pana Józefa?

Mania: Ale on pierwszy zaczął, proszę tatki!



Z życia kawalerskiego.

— Cóż ty, ledwie się zaręczyłeś a już dzwigasz prezenty dla narzeczonej?

— Mój kochany, skoro mam się żenić, to niech już wiszę za obie nogi.



Dobry sposób.

Młody małżonek: Ogromnie ciekawy jestem, co też moja żoneczka sobie o mnie myśli?

Pan doświadczony: Jest na to znakomity sposób. Usiądź pan na jej nowym kapeluszu, a zaraz będziesz pan wiedział.





K
N
A
P
I
N
S
K
I

Zakład własny
wytrobów ortopedycznych
Ludwika Knapińskiego

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga

do leczenia skrzywień kręgosłupa i cho-
rób kończyn stawowych, bandaż, pasy,
gorsety, pończochy gumowe bez szwu,
prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztu-
czne i szczudła.

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profe-
sorów i lekarzy, odznaczone na wystawach
lekarskich złotymi medalami.

Knapiński, Kraków, Mikołajska 7.

Telefon 505.



ODRODZENIE

Czasopismo poświęcone sprawom
współdzielczym, przemysłowym
i gólno-ekonomicznym

Wydawcą tego

pisma jest „Związek Stowarzyszeń zarobko-
wych i gospodarczych“ we Lwowie plac
Smolki 1. 4. działający w porozumieniu
z Komisją krajową dla spraw przemysł-
owych, Ligą pomocy przemysłowej, krajowym
Związkiem przemysłowym i innymi wybitniej-
szymi organizacyami.

Przedpłata z przesyłką pocztową w Austrii
rocznie 12 K, półrocz. 6 K, kwartal. 3 K.

Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca.

Redakcja i administr. Lwów, pl. Smolki 4.

Polskie firmy,

które chcą się zaprowadzić w kołach naszych czy-
telników winne ogłaszać w bardzo rozpowszech-
nionym

„Tygodniku Narodowym“.

„Krajowy Kolejarz“

centralny organ galicyjskich kolejarzy, najstarsze
pismo dla kolejarzy polskich wychodzi 15-go
każdego miesiąca, zawiera:

**Fachowe artykuły pisane przez kolejarzy
i kronikę z życia kolejarzkiego**

Przedpłata wynosi rocz. 2 Kor. półrocz. 1 Kor
kwartalnie 50 hał.

Przedpłatę przysyłać należy do

Administracji „Krajowego Kolejarza“
ul. Szeptyckich L. 68, Lwów.

**Ogłaszajecie w polskich
gazetach!**

Od Administracji.

Wszelkie reklamacje są wolne od
opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czy-
telnikom uwagę na to, iż reklamacje
koniecznie muszą być nadesłane w
otwartej kopercie. Reklamacyi w zam-
kniętych kopertach niefrankowanych nie
przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam
za nie podwójne porto.

Reklamy.

Kaszlącym zwracamy uwagę na ogłoszenie o *Thymomel Scillae*, przez lekarzy zapisywany, a bardzo skuteczny preparat.

My nie chcemy cierpieć bólu głowy, krzyżów, zębów, darcia w członkach, kłócia w boku, reumatycznych bólów pleców i muszkułów. My używamy fluidu Feller z marką „Elsa-Fluid”. Próbną tuzin kosztuje tylko 5 koron franko. Żołądek wzmacniają, trawienie ułatwiają, wzbudzają apetyt, łagodzą kurcze, stolec regulują przeczyszczające pigułki rabarbarowe Feller z marką „Elsa-pillen”. 6 pudełek franko 4 korony. Dostarcza E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260, Kroacya.

„KUPIEC POLSKI”

największy organ kupiectwa polskiego wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca w Krakowie.

„Kupiec Polski” : Ogłoszenia omawia sprawy kupiectwa. ■ w „Kupcu Polskim” najlepiej się opłacają. ■
„Kupiec Polski” : „Kupiec Polski” obfitością treści przewyższa ■ ma czytelników we wszystkich ■
 nawet fachowe pisma niemieckie. ■ kich sferach i dzielnicach Polski.

Prosimy żądać numerów okazowych.

Prenumerata: w Austrii 2 Kor. kwartalnie, 8 Kor. rocz.
 „ w Niemczech 2 Mk. kwartalnie, 8 Mk. rocz.
 „ w Rosyi 1 Rub. kwartalnie, 4 Rub. rocznie.

Adres: **Kupiec Polski Kraków Wolska nr. 14.**

„Szkoła” jest najstarszem pismem pedagogicznym w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.

Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.

Podaje obszernie informacje o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.

„Praktyka szkolna” podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orietację w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO, miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle, a szkolnictwu ludowemu w szczególności, wychodzi we Lwowie pod redakcją Komitetu.

Do każdego numeru dołącza się „Praktykę szkolną”, przewodnik metodyczny dla nauczycieli.

Przedpłata „Szkoły” wynosi:

rocznie 8 k. — 3 rb. 50 kop. — 8 marek
 półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „

Przedpłata „Praktyki szkolnej” wynosi:

rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
 półrocznie 2 „ — 90 „ — 2 „

Adres redakcyi i administracyi:

Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

Redaktor odpowiedzialny Henryk Mierkiewicz w Poznaniu.
 Czeionkami „Dziennika Poznańskiego”.

8

niezmierznie ciekawych

powieści

Tajemnice wielkiego miasta
 na tle głośnych wypadków (430 stron)

Złośliwy figiel - Czerwonym szlakiem
 na tle dziejów Szertok Holmesa (320 stron)

Róża czarna i róża biała
 na tle stosunków amerykańskich (240 stron)

Skarb więźniów - Przygoda greka
 Tańczące znaki i Samotna cyklistka.

Wyżej wymienione nadwyraz interesujące
 powieści

zamiast **13 Kor. 70 hal.**

po wyjąt-
kowiejcenie **7 Koron**

wysyła franko za poprzedniem nadesłaniem
 należności.

„GWIAZDA”

Poznań,
 ul. Wilhelmowska nr. 11.

„Przewodnik Kółek rolniczych”

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10. i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszurowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacye handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we Lwowie, ul. Kopernika 11.

„Nowiny”

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcją Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny”

celują szybkością
informacji i obfi-
tością zajmującej
lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych
— numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny” Kraków Wiślna 2

Dyplomy honorowe:

Na wystawie
Kraków 1901
Karlsbad 1908

Dyplomy honorowe:

Na wystawie
Londyn 1908
Paryż 1908

W. Sznajdrowicz

Kuśnierz

15

7

w Krakowie, Rynek Linia A-B Nr. 45, I. piętro,

Filia: w Krynicy.

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój
obficie i jedynie w towary, doborowe
zaopatrzony Skład i pracownię jako:
Futra dam., Rotundy, Żakietki, Saka,
Peleryny, Boa Garnitury, Futra męskie,
Spacerowe i podróżne, Marynarki, Sur-
duty, Bekiesze i Dohy, Czapki futrzane
oraz wszelkie przybory w zakres ten
wchodzące, oraz wielki wybór, Ser-
daków i Peleryn.

ZAMÓWIENIA

wykonują się z całą starannością, jak również
wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer, i w tym
celu magazyn posiada wielki **Wybór materiałów**
z fabryk krajowych, jak również angielskich.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnachs prosi-
my się odwoływać na
ogłoszenia w piśmie
naszem.

Fabryka
pieczęci
kautczukowych
St. Niemczyk
7 KRAKÓW I. 9.
Sukiennice 10. B.

„GŁOS POLSKI”

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,
wychodzi w Tarnopolu.

PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY,
Rok założenia 1904.

Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupezye w Krakowie.

Inżynier LEONARD NITSCH i Spółka, Kraków, ul. Kolejowa 18

projektują i wykonują:

Wodociągi dla miast, gmin, folwarków, fabryk, ogrodów, gmachów publicznych, domów prywatnych i t. d.

Poszukiwanie i uchwycenie źródeł. — Wiercenie studzien. — Ustawianie pomp. — Instalacje domowe z klozetami, łazienkami i t. d.

Centralne ogrzewanie wszelkich systemów i wentylacje. — Łaźnie. Mechaniczne pralnie. Suszarnie i t. d.

Najlepsze referencje z dotychczas wykonanych robót. — Kosztorysy bezpłatnie.

Sandały Kneipowskie

poleca najtaniej

Bazar krajowy

w Krakowie

Rynek główny l. 20.

Kilimy krajowe

poleca

:: magazyn bielizny ::

:: konfekcji męskiej ::

Braci Bilewskich

w Krakowie.

Magazyn i Pracownia sukien męskich

MARCINA CZAJI i WŁ. RECHOWICZA

Kraków, ulica Mikołajska L. 24.

poleca na sezon letowy wielki wybór materiałów

modnych, krajowych i oryginalnych angielskich.

Wykończenie artystyczne, ceny przystępne.

K. Zieliński,

— optyk —

Kraków, Rynek, A-B 34

Poleca obficie zaopatrzonego magazyn wyrobów optycznych, oraz pracownię, przyjmuje do reperacji maszyny do pisania wszelkich systemów, gramofony i t. p.

Pierwszy zakład bandażo-ortopedyczny HYNKA BOGDANOWICZA

w Krakowie, ul. Floryańska 9 (w podwórku)

poleca w wielkim wyborze i najtaniej:

Pasy rupturowe pachwinowe, nerkowe i brzuszne.

Sznurówki i szelki do prostego trzymania się.

Przyrządy do równania różnych części ciała.

■ Poduszki i irygatory, pończochy gumowe, strzykawki, wate, aparaty inhalacyjne, suspensory i t. p.

■ Pasy higieniczne miesięczne systemu Teufla.

LAWN - TENNIS,
RAKIETY, PIŁKI,
PIŁKI NOŻNE,

Przybory do ryb-
łóstwa.

PERFUMY, MYDŁA

i PUDRY kraj., franc.
i angielskie

14 polecają najtaniej

REIM i Ska. Kraków

Rynek 37. Linia A. B.

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryńska 1 36, I. p.

== Kraków, ulica Zyblikiewicza 9. Telefon 796. ==

MECHANOLECZNCZY

ZAKŁAD ZANDEROWSKI

Lecznica chirurgiczno-ortopedyczna.

Oryginalne aparaty Zandera.

Gimnastyka lecznicza. — Pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. p. — Leczenie gorącym powietrzem. — Mięsienie. — Elektryzowanie.

Aparat Röntgena. — Sala operacyjna. — Pokoje dla chorych.

Leczenie garbów, skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawów i kości, gościca, arytmizmu i t. p.

Zakład otwarty od godz. 9—1 i od 4—6.

Dr. Alfred Merz.

Dr. M. Staszewski.

Dr. Zygmunt Wachtel.

6

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią
zadowolić tutki cygaretowe

„Framos“

z watą „SALVESOL“

Bibulka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nie dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Właściwości te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

13

„WATA SALVESOL“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. Każdy palący tytoni, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakiet „Waty Salvesol“ wystarcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ 3 korony. 10 cygarniczek 1 kor. 20 hal. Pakietek waty „Salvesol“ 30 lub 60 hal.

7

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris“

Mr. W. Beldowski, Kraków.

PRZYJACIEL LUDU

ORGAN POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO

redagowany przez p. Stapińskiego
jest najpoczytniejszym pismem ludowym
(nakład 18 000 epz.).

Wychodzi regularnie raz w tygodniu.
kosztuje:

w Galicji i Austro-Węgrzech . 4 korony
do Królestwa Polskiego i Rosji 2 ruble
do cesarstwa niemieckiego . 4 marki
do Ameryki, Rumunii, Danii
i innych państw europejskich 5 koron

PRZYJACIEL LUDU

ma największe zaufanie u włościan i dlatego ogłaszanie się w „Przyjacielu Ludu“ przysparza pewnych odbiorców.

Cena ogłoszeń według umowy.

Adr. „Przyjaciel Ludu“ Kraków, ul. Krótka 6.